Nr. 17 (1631) Warszawa, 28 kwietnia 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wyzwanie.

„Tam, gdzie z jednej strony stają pionierzy młodego życia, pobudzani do walki nieustannymi atakami, wyklinani i przeklinani, ośmieszani i spotwarzani, — a z drugiej strony działa egoizm klasowy, obskurantyzm, ciasnota pojęć odwiecznych, sądzimy, że żaden prawy Polak i szczery demokrata nie będzie się wahał, ku czyjej stronie się przechylić".

Tak pisaliśmy w grudniu roku zeszłego, z powodu ostrych, wzmożonych w owym czasie napaści na Zaranie ze strony obozów zachowawczych.

Minęło cztery miesiące od owej chwili, a już stosunki zdążyły przybrać oblicze odmienne. Postawa całej niemal prasy zasadniczej uległa zmianie wobec parcia młodej demokracji. Gdy dawniej ruch ludowy, ogniskujący się wokół hasła sami sobie negowano stanowczo, wyrzucając go poza nawias życia narodowego, dzisiaj pogodzono się z nim w zasadzie. obarczając go jedynie zastrzeżeniami co do metody, co do sposobów rozwoju i granic espansji. Już nikt, najzagorzalszy nawet fanatyk konserwatyzmu, nie powątpiewa o rzetelnej wartości żywiołów, skupionych pod znakiem Staszica, wartości zarówno etycznej jak społecznej i narodowej.[1])

Bo i jakże? Od lat tysiąca siedzą tu na polskiej ziemi, orzą, sieją, pracują; węgłami domostw swoich wsparli nad przepaścią walący się z całym narodem gmach Rzeczypospolitej, sukmany białe, w których chodzą dzisiaj, były królewskim ongi strojem Piastowiczów... Kość z kości, krew z krwi lackiego rodu! Jeżeli dla zachowania narodowości niezbędny jest związek z ziemią, to któż nad chłopa bliżej i serdeczniej z nią jest zbratan? Zali może mieć dzisiaj o polskości pojęcie ten, kto nie był nigdy pod strzechą wiejską, kto z jej mieszkańcem nie łamał czarnego chleba po całodziennym znoju dnia?

Zali nie u chłopa Wyspiański znalazł potęgę pralechickiego słowa i powagę ruchu i królów dawnych majestat?

Więc czyż nie na drwiny zakrawa ambicja jakiejś tam garstki obskurantów, usiłujących ludowi przyznawać lub też mu odmawiać praw uczestnictwa — w narodzie, w polskości, w ojczyźnie? Chłop sam jest krynicą polskości najczystszą; myśliciele, artyści i poeci o tym wiedzą doskonale, gdy w jej zdrojach ożywczych przychodzą kąpać duszę.

Prasa tedy konserwatywna dość rychło zorjentowała się, że odsądzać chłopa od polskości, oddzielać lud od ojczyzny, — jest niedorzecznością. Albowiem tam jest ojczyzna właśnie, gdzie jest lud.

Zadania ludu różne obozy pojmują rozmaicie. Wszalako, już nawet *Kurjer Warszawski*, wobec budzenia się świadomości w masach wiejskich, zdobywa się na przekonanie, iż „należałoby bronić interesów ludu w życiu codziennym, wszędzie — gdzie egoizm klasowy, obskurantyzm, ciasnota pojęć odwiecznych normalny rozwój życia chłopskiego wstrzymują".

Zjazd „Kółek Staszicowskich" dopełnił przełomu w opinji powszechnej, jaka się w stosunku do ruchu ludowego wytworzyła. Biła zeń tak wysoka miara poczucia obywatelskiego, iż najzaciętsi nieprzyjaciele *Zarania* w uczestnikach „Zjazdu" uznać musieli siłę narodową cenną i pożyteczną; co więcej: powitać w nich musieli przednią straż

[1]) C. T. R. ubiega się od pewnego czasu o wcielenie kółek Staszicowskich do swej organizacji, składając tym najlepszy dowód swego uznania dla wartości składających je żywiołów.

powszechnego w narodzie postępu, zaczyn wielkiej demokracji polskiej, która dziś ogarnęła tysiące, za lat parę ogarnąć może — miljony!

I tego właśnie uląkł się kler katolicki w Polsce.

Rozumie on doskonale, że wytworzenie się światłej, na zasadach samodzielności, zarówno duchowej jak społecznej, opartej demokracji — powoła do życia świecką kulturę, która kres położy rządom klerykalnym. Kościół żyć może tylko w mroku. Światło, które dla wszystkich jest barwą i symbolem życia, dla kościoła jest symbolem śmierci.

Kler w obliczu cywilizacji współczesnej nic nie ma do stracenia. Działa rzutami rozpaczliwymi. W osobie kilku naraz biskupów wypowiedział walkę śmiertelną idei usamodzielnienia ludu, obarczając klątwą tych, którzy owej idei służą z zapałem i poświęceniem.

Rękawica została rzucona.

Któż ją podejmie?

Odpowiedź może być tylko jedna: podjąć ją winien cały naród. Grom wymierzony z okopów Kościoła godzi nie w szczupłą gromadę, nie w poszczególny odłam, ale w całokształt kultury polskiej. Łamie najgłębsze jej fundamenty.

Nie po raz pierwszy to zagradza nam Kościół drogę do potęgi. Na wielkim szlaku zwycięztw ongi w osobie Possewina wytrącił miecz polski z wzniesionej ręki Batorego, aby po stu latach, naprzekór interesom polskim, wcisnąć go w bezwolną dłoń Sobieskiego — pod Wiedniem.

Jak ongi szlachtę wyzuł Kościół z dziedzictwa Jagiellonów, tak dziś chce wyssać chłopa i wyzuć z kultury. Chce zaprzepaścić ziarno naszej przyszłości, jak niegdyś fatalizmem zagłady zaciężył nad przeszłością.

Wzorem legendowego Niszczyciela usiłuje Kościół w ziemię wdeptać rodne ziarno, licząc, że je unicestwi. Aliści dozna srogiego zawodu tak samo, jak ów z legendy Duch zniszczenia. Ludowe ziarno wbite w ziemię gradem klątew i prześladowań kościelnych, nie zginie, ale w głąb puści korzenie, zaweźmie się w twardej glebie — i wyda owoc.

Ruch ludowy, przez biskupów wyzwany, w walce przeciw Kościołowi znajdzie rozstrzygającą pomoc w potężnym sojuszniku: ów sojusznik ma na imię D w u d z i e s t e S t u l e c i e!

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Sprawa cieśniny dardanelskiej góruje dziś nad wszystkimi kwestjami politycznymi, a zagnionych kwestj jest w obecnym położeniu niezwykła obfitość. Włochy wstrząsnęły równowagą Europy ugodziwszy w punkt najdrażliwszy, w ten, w którym oddawna krzyżują się i plączą najczulsze nerwy wszystkich jej interesów. Dardanelle są bramą do Konstantynopola, traktem handlowym dla wszystkich państw niezbędnym a dla niektórych jedynym, smacznym kąskiem, którego dotąd dlatego tylko nikt nie pochłonął, że każdy na niego zęby ostrzy, a zawiść współzawodników hamuje wszystkie podrażnione apetyty.

Zamknąć Dardanelle, to sparaliżować bieg handlu europejskiego w znacznej mierze, a rosyjskiego w rozmiarach ekonomicznej katastrofy. Otwarcie Dardanelli w obecnych warunkach grozi katastrofą polityczną Turcji, gdyż Włochy wprawdzie eskadrę z cieśniny wycofały, lecz obstają przy swoim prawie prowadzenia akcji wojennej w tym punkcie jak i w każdym innym, gdzie tylko mogą przeciwniczkę skutecznie i dotkliwie dosięgnąć, wyłączając — skutkiem umowy z Austrją — jedynie brzegi Adryatyku i Morza Jońskiego.

Najtragiczniejszą rzeczą w tym konflikcie jest, że każdy ma tutaj rację: i Europa, która nie chce, by turecko-włoski pojedynek rozgrywał się jej kosztem, i Turcja, nie tak uprzejma, by nieprzyjacielowi bramy swej stolicy otwierać — a nareszcie i Włochy inna rzecz, czy dobrą i konieczną było rzeczą wszczynać kampanję turecką, dziś jednak nie mogą one zapominać

ECHA PRAWDY.

Działalność literacka biskupów.

Duch zarazy grafomańskiej powiał po głowach ubranych w infuły. Jeden za drugim biskupi puszczają z rąk pastorały a chwytają za pióra i piszą i piszą i piszą...

Podwładne duchowieństwo rabuje parafje i grąży się w rozpuście: biskupi nie patrzą na to i piszą.

Mnisi po klasztorach rozlewają p o p i j a n e m u w i n o przy ołtarzu, a po trzeźwemu — k r e w, w swych celach płaszczem Bogarodzicy osłoniętych pełniąc skrytobójcze mordy: biskupi nie chcą widzieć i — piszą.

Księża Kłopotowscy szarpią dobre imię ludzi nieskazitelnych, raz po raz odpowiadając sądownie za fałsz, za oszczerstwa, za brudy moralne: biskupi słowem się nie ozwą; oni — piszą.

Przełożeni klasztorów okradają czczoną przez naród Królowę z pereł i w klejnoty kradzione stroją swe kochanki, przetapiając aureolę cudowności, którą lud rozpiął wokół Jasnej Góry, na złoto dla nierządnic: biskupi milczą i — piszą.

Pisze Zdzitowiecki, pisze Łosiński, pisze Nowowiejski; arcybiskup Popiel pisać już nie może, więc — tylko wyklina. Włocławek, Kielce i Płock oddawna nie rozwijały w swych murach takiej ożywionej gorączkowej akcji piśmienniczej, jaka zawrzała w nich obecnie. W stuleciach minionych zakwitały wprawdzie na grzędach kościoła płodne indywidualności pisarskie, ale w jakże rzadkich od siebie odstępach. Wiek XV miał swego Długosza wiek XVIII miał Krasickiego i Naruszewicza. W wieku XX natomiast każdy biskup chce być Naruszewiczem.

Wszelako, jakże pociesznie przedstawia się w każdym z nich stosunek sił do zamiarów i chęci Właściwie samo zestawienie z Naruszewiczem biskupa Zdzitowieckiego lub Łosińskiego jest już dla pamięci pierwszego zniewagą.

Cóż bo piszą tak zawzięcie biskupi dzisiejsi? Dzieła historyczne, jak Długosz i Naruszewicz? Traktaty teologiczne? Poezje?

Nie!

Oni piszą wyroki potępienia na ludzi, usi-

o tym, że choć wojna jest strasznym nieszczęściem, istnieje straszniejsze jeszcze — a tym jest wojna przegrana. Od nikogo też nie można żądać, by uznał się zwyciężonym, gdy przewaga jest po jego stronie, jedynie z tej racji, że wzgląd na interesy stron neutralnych nie pozwala mu sił rozwinąć i z nich korzystać. Turcji dopisuje szczęście w nieszczęściu. Brak floty nie pozwolił jej przenosić swej siły zbrojnej do zaatakowanego kraju, lecz w zamian za to oszczędził jej kosztów i ryzyka. Nie broni ona Trypolisu; Trypolis sam się broni; ją zaś osłaniają mocarstwa europejskie, krępując ruchy nieprzyjaciela. Może tedy czekać z założonymi rękami ostatecznego rezultatu, który nie byłby innym, gdyby chciała wystąpić czynnie a kosztowałby ją znacznie więcej. Niema też najmniejszego powodu zrzekać się swego tytułu własności. *Neue Freie Presse* czyni pod adresem Włoch złośliwą uwagę, że gdyby nawet sułtan, przestraszony bombardowaniem dardanelskich fortów, darował im Trypolis, nie posunęłoby ich to ani na krok naprzód, bo trzebaż najpierw ten kraj na Arabach zdobyć — a do tego zdaje się dość jeszcze daleko. Wynika stąd takie paradoksalne położenie, że choć wojnę włosko-turecką prowadzi tylko jedna strona, nie zbliża się wcale do zwycięztwa. Na zdobywanie Trypolisu uzyskały niezawodnie [illegible] na akcja bynajmniej w drogę nie wchodzi. Inna rzecz z brzegami morza Egejskiego i cieśniną dardanelską. Tutaj musiałyby się spotkać z licznymi przeciwnikami i poszukać pożytecznych sprzymierzeńców. Sytuacja byłaby dla nich nad wyraz niebezpieczna, gdyby mieli się przeciw nim zwrócić z jednomyślną opozycją ci wszyscy, którzy dziś jednomyślnie wojnę lokalizować próbują. To też niepodobna wątpić, że zanim się na tak ryzykowną puściły demonstrację po półrocznym wahaniu, postarały się zapewnić sobie ciche poparcie lub nawet dalej sięgające obietnice pożytecznych sojuszników.

Cesarz Wilhelm, którego podróż na południe chciano poczytywać za symptomat a może nawet gwarancję pokojowej konjunktury, po drodze rozmawiał z włoskimi dyplomatami a i na Korfu pono nie próżnuje. Mając pewność, że Włochy na morze Jońskie działań wojennych nie przeniosą, może zbliska czuwać nad rozegrywającą się akcją lub nawet poruszać jej tajemne sprężyny. Kłopoty Turcji a nawet jej poważne klęski są także złem, które komuś na dobre wyjść może, w pierwszym zaś rzędzie Grecji. Sprawa przyłączenia Krety, do której ma ona i naturalne i historyczne prawa, która sama garnie się pod jej skrzydła, oddawna utknęła na tym samym martwym punkcie co i wojna włoska: na usiłowaniu utrzymania za wszelką cenę status quo na Bałkanach, z obawy rozpętania nieobliczalnych w następstwa europejskich konfliktów. Może familijne pogawędki z greckim następcą tronu na Korfu dotykały i tego tematu.

Zagwarantowane dawniejszymi traktatami zamknięcie cieśniny dardanelskiej dla wojennych okrętów stało się od pewnego czasu bardzo uciążliwym dla Rosji i już p. Izwolski czynił zabiegi o uzyskanie zmiany tego punktu w berlińskim traktacie, z którego może on już ostatnią pozostał pamiątką. Niezależnie od wszelkich oficjalnych umów interesy jednego z mocarstw trójprzymierza zbiegły się tu z interesami jednego z mocarstw trójporozumienia. Nie bez racji może nazajutrz po ataku na Dardanele na ulicach Rzymu wołano „Niech żyje Rosja!" choć był to rodzaj niespodzianki politycznej. Niepodobna przewidzieć, ile podobnych niespodzianek kryje obecne położenie.

Po cieśninie krążą jeszcze miny zmobilizowane przez Turcję. Z obu jej stron gromadzą się statki handlowe czekające na wolny przejazd. Mocarstwa interpelują Turcję, by nie tamowała ruchu, ona zaś odpowiada im bardzo logicznie, że uczyni to natychmiast, skoro ją zapewnią, że Włochy nie ponowią ataku. Te zaś tego zapewnienia nie dadzą i dać go nie mogą.

Zawieszenie konstytucji w Chorwacji i znęcanie się madziarskiego rządu nad jej mieszkańcami wywołało już poważne następstwa, z którymi węgierscy politycy powinniby się liczyć w swoim własnym interesie. Protesty wszystkich klubów słowiańskich w wiedeńskiej radzie państwa, w odpowiedzi na nie otwarta i surowa nagana polityki węgierskiej ze strony ministra Stuergka, wreszcie manifestacje serbskie na rzecz uciemiężonych braci. Węgrzy wybuchają oburzeniem, że minister austryjacki nietylko pozwolił roztrząsać ich wewnętrzne sprawy w wiedeńskim parlamencie, lecz sam wziął w tym udział. Formalnie mają zupełną słuszność, lecz litera prawa jest martwą i bezsilną wobec realnych i żywotnych interesów. Wewnętrzne sprawy Węgier zaognione w tak niebezpieczny sposób, grożą poważnymi następstwami drugiej połowie monarchji. Wiemy, że Węgry miały pretensję, by Bośnię i Hercogowinę do ich dziedziny przyłączyć. Kraje te mogą sobie powinszować, że tak się nie stało, a i rząd austryjacki dziś więcej niż kiedykolwiek widzi, jak dalece miał słuszność. Aneksja Bośni i Hercegowiny o mało nie wywołała wojennego zatargu, a jeśli za-

---

łujących myśleć własnym mózgiem. Wyroki te przesyłają następnie do wykonania dwom instancjom, zasadniczo niezależnym od siebie: Panu Bogu tam i władzy świeckiej tutaj.

Do której instancji się odwołać w danym wypadku, rozstrzyga zazwyczaj stopień jego powszechności: wobec jednostek — wskazany bywa trybunał ziemski; wobec zaś psychologji tłumowej lepszy jest trybunał niebieski.

To też Aleksego Kurcjusza i Andrzeja Niemojewskiego arcypasterze nasi zadenuncjowali do władzy ziemskiej; natomiast ruch oświatowy „zaraniarzy" ciż sami pasterze zadenuncjowali przed Sędzią niebieskiego. Ta ostatnia procedura wskazana jest również tam, gdzie przestępcy pociągnąć nie można przed prokuratora — z powodu śmierci. Podpadają jej więc tacy „szkodnicy" jak Adam Mickiewicz, Zygmunt Krasiński, Juljusz Słowacki, Marja Konopnicka: wszyscy oni zostali wyklęci za swe bezbożne dzieła. Dusze ich wysłano do piekła, jako dusze pisarzy „którzy systematycznie podkopywali wiarę katolicką ludu i powagę Kościoła".

Dzisiaj za to samo wyklina się czytelników i przedpłatników *Zarania*. Biskup Łosiński z furją zatrzasnął przed nimi drzwi do Nieba, Zdzitowiecki chce je zaryglować na żelazne zamki, a konający duch Popiela trupem własnym usiłuje zagrodzić drogę do raju.

Ślepi a zawzięci starcy! Nie spostrzegli snadź że z ich rąk dawno już wysunęły się Piotrowe klucze od niebios: ostały jeno — klucze więzienne.

Echo oceanu.

Zginął „Titanic".

Przez noc całą trwała jego agonja, od godz 10 wieczorem do 5 rano. Przez noc całą — — ? lub może przez całą wieczność? Któż pozna, któż kiedykolwiek odgadnie długość tego łańcucha sekund, który żelaznymi skrętami powoli, powoli owijał ciało rozbitków? Prosty fakt, że minuta zawiera 60 sekund, nabiera tu okropnego znaczenia i zda się być okrucieństwem, bo w każdej sekundzie mieściła się rozpacz ginącego życia, każda sekunda dygotała i wyła setkami głosów, — a ileż tych sekund minęło w ciągu nocy?

Już szczątki burt tonęły. Wolno i cicho, ze

żegnały go inne wpływy, to w porę udzielone swobody autonomiczne ugruntowały władzę Austrji, na trwałych ją oparłszy podstawach. Opieka Serbji stała się zbyteczna; dziś jednak ucisk Chorwatów musi wywoływać na nowo ciążenie ku braciom zza Dunaju i wznawiać dawne plany zjednoczenia może w przededniu najpoważniejszych zewnętrznych zawikłań.

Inaczej gotuje się do stawienia czoła tym przewidywanym zawikłaniom Anglja, która właśnie teraz przeprowadza przez izbę irlandzki Home-Rule, o który przez wiek cały toczyła się walka. Przez pokój wewnętrzny zmierza ona do zewnętrznej potęgi.

W zaborze pruskim.

Niepokój hakatystów. — Memorjał komisji kolonizacyjnej. Dodatki pocztowe.

Moment obecny cechuje pewne niezdecydowanie, pewną chwiejność w stosunku rządu pruskiego do Polaków. Wszystkie dotychczasowe zarządzenia antypolskie trwają w dalszym ciągu, o żadnych ustępstwach dla Polaków niema mowy, przedstawiciele rządu zapewniają raz po raz, że w dziedzinie polityki na „kresach wschodnich" nic się niema zmienić, a jednak... Jednak daje się wyczuwać i w sferach rządowych i w szerokich kołach mieszczaństwa niemieckiego, że istnieje i rośnie — słaba jeszcze na razie — niechęć do systemu eksterminacyjnego hakatyzmu. Przekonanie o zupełnej niewspółmierności polityki antypolskiej z jej skutkami szerzy się niepowstrzymanie. Rośnie i niechęć do hakatyzmu, objawiająca się drobnymi, jakkolwiek charakterystycznymi faktami w rodzaju odrzucenia przez radę miejską Karlsruhe wniosku o wypłacanie w dalszym ciągu zapomogi towarzystwu kresów wschodnich.

Hakatystów ogarnia też coraz większy niepokój i pisma ich przepełnione są gwałtownymi oskarżeniami rządu o „zdradę" o „zaprzedanie interesów niemczyzny" i t. d. Ostatnio źródłem tych napaści stał się memorjał komisji kolonizacyjnej, rozdany członkom Sejmu i mający być przedmiotem gorących rozpraw podczas najbliższej sesji. Zdaniem prasy hakatystycznej memorjał ten przeszedł najbardziej pesymistyczne oczekiwania, podaje bowiem cyfry „wprost zastraszające". *Tägliche Rundschau* zestawia dane zakupna przez Komisję kolonizacyjną ziemi od roku 1905 i wysnuwa z nich wnioski bardzo pesymistyczne. W r. 1905 zakupiono — 34,600 hekt.; w 1906 — 27,000; w 1907—9,400; w 1908—14,000, w 1909 — 21,000; w 1910 — 15,000 i wreszcie w 1911 — 9,000, a więc mniej niż w r. 1907-ym, kiedy fundusze Komisji były zupełnie wyczerpane. Ale i ta ziemia jest wykupywana niemal wyłącznie z rąk niemieckich, bo od Polaków komisja kupiła w r. 1910 — 1300 hekt., a w r. 1911—zaledwie 1,200. Obecnie komisja posiada minimalne zapasy ziemi, nadającej się do kolonizacji i skutkiem tego znajduje się jakby w przededniu likwidacji. Pomimo zapewnienia ministra rolnictwa, że o zwinięciu komisji niema mowy, hakatyści wmawiają w publiczność, że to nastąpić musi, jeśli rząd nie zastosuje polityki wywłaszczenia. Hakatyści podkreślają ustawicznie fakt, że w r. 1910 w ręce polskie przeszło o 8,000 hektarów ziemi więcej niż z rąk polskich w niemieckie i że od r. 1896 do 1910 Polacy nabyli 100,000 hektarów czyli odbili zupełnie całą swą stratę z okresu 1886—1896, a więc dziś wzajemny stosunek ziemi niemieckiej do polskiej jest najzupełniej taki sam, jaki istniał w r. 1886-ym, kiedy komisja kolonizacyjna rozpoczynała swą działalność.

Hakatyści z wielką namiętnością podnoszą fakt, że antypolska ustawa parcelacyjna, która powinna była stanąć na porządku dziennym ostatniej sesji sejmowej, została odroczona *ad calendas graecas*. A już prawdziwa wściekłość ich ogarnęła z powodu odrzucenia przez parlament dodatków dla urzędników pocztowych w prowincjach polskich. Fakt ten, będący poważną porażką rządu, był przykrą niespodzianką dla tego ostatniego, który obecnie usiłuje uratować owe dodatki, odbierając im charakter wyłącznie antypolski. Dodatki te mają otrzymywać na podstawie opracowywanego obecnie projektu urzędnicy pocztowi we *wszystkich* prowincjach o ludności różnojęzycznej, a więc nietylko w Poznańskim, w Prusach Zachodnich, na Mazowszu i na Śląsku, ale i na Litwie, w Łużycach, w okolicach duńskich i wolońskich oraz w Westfalji i Nadrenji, gdzie skupiona jest emigracja polska.

Obserwator.

---

strasznym spokojem, jaki tylko bywa w krokach nadciągającej śmierci, osuwały się boki okrętu w głąb rozszumiałą, morze z sykiem wdzierało się przez ściany poszarpane, fale przelewały się przez kadłub... już ciała wyczerpane wysiłkiem spływały na toń gładką i mroźną...

A tylko na rejach ostatniego pomostu, prawie aż do końca, jakiś anglik młody, mechanik, stał z ręką na aparacie telegrafu iskrowego i bez przerwy słał w pustą przestrzeń rozpaczliwy krzyk R a t u n k u! Woda chwytała go za stopy, podnosiła się do piersi, w końcu już usł jęła sięgać lodowatym gorzkim pocałunkiem. Wokoło, na niezmierzonym przestworzu była martwa cisza. Nad szklaną zimną głębiną morza milczało szklane niebo. „Titanic", niby potworna trumna chwiał się pośrodku dwu niemych, pustych przepaści. I skroś tę niemą pustkę, rozpaczną błyskawicą leciał krzyk: Ratunku! Po nad mogiłą morza leciał w szeregu iskier ku dalekim brzegom, — do ludzi, do sióstr, braci i matek: ratujcie! giniemy!

No wschodzie zapalał się właśnie hymn świtu, w obłokach grała cudnobarwna pieśń jutrzni; i niebo i ocean rozkwitły purpurą wiosennego poranku, buchając krasą młodego dnia w oczy konających i — trupów.

„Titanic" zginął... ale czyż ból, który targnął ludzkością na wieść o jego zagładzie, jest bólem upokorzenia i rozpaczy, bólem zniechęconej rozpaczy i bezradności? Okrucieństwo ślepego Żywiołu pokonało przedsiębiorczość człowieka. Człowiek padł w walce z przyrodą, ale walka, którą toczy jest szczytna, wielka i wspaniała. Na pobojowisku legły miljony trupów w każdym pokoleniu, ale i tysiące orłów zwycięzkich ponad nim wzbiło się ku słońcu, stwierdzając tryumf człowieka. Bowiem człowiek ginie, ale genjusz ludzki jest nieśmiertelny i niepokonany. „Titanic" uległ zagładzie, ale Tytan, który go zbudował, który go z chaosu sił mrocznych wywiódł i cisnął na łono wód, jak rękawicę żelazną wyzywającą na bój całą potęgę oceanu, Tytan ów nie zginął, i z chwilowej porażki wstanie w tęższej zbroi i z mocniejszym ramieniem.

W tragedji człowieka, zmiażdżonego przez żywioł, na dnie najstraszliwszej nawet klęski, jest jeszcze miejsce dla przejawu jego zwycięstwa, dla majestatu jego ducha, dla jego wielkości i dumy.

Conditio sine qua.

Przed tygodniem, rozpatrując na tym miejscu niedole proletarjatu wielkie i małe, stwierdziliśmy jako fakt empiryczny, iż źródłem i bodźcem do rewolucjonizowania stosunków, panujących w fabryce, bywa kontrast, jaki zachodzi między wolnością polityczną, z której korzysta robotnik poza fabryką, a jarzmem niewoli, które dźwiga w fabryce.

Fakt ów stoi u samego proga sprawy wyzwalania się proletarjatu. Jest on punktem, z którego otwiera się perspektywa na dynamikę społeczną. Kto się z nim nie liczy, ten nie liczy się z rzeczywistością.

Na całym zachodzie Europy, tudzież w Ameryce i w Australji, wolność polityczna jest już zdobyczą osiągniętą. Tam — rękojmie polityczne stają się podstawą dla walki społecznej: w ujarzmionym, zgiętym ciele robotnika — buntuje się i pręży duch wolnego obywatela.

Przeciwieństwo interesów proletarjatu oraz burżuazji — wynika z przyczyn rozmaitych, i nie wszystkie, oczywiście, przyczyny mają źródło w zasadzie klasowej. Powszechnie wiadomo, że dłużnik nienawidzi wierzyciela; że lokator czuje niechęć względem właściciela domu, że spożywca nie jest życzliwie usposobiony dla kupca. Antagonizmy owe, nie mają nic wspólnego z walką klas, są niemal tak stare, jak dzieje człowieka. Niektóre z nich, w pewnych momentach historji, nabierały niezwykłej doniosłości, wybijając się na czoło starć społecznych, i doprowadzając do radykalnych przełomów państwowych. W starożytnym Rzymie jednym z głównych czynników rozjątrzenia plebsu przeciwko patrycjuszom, były wygórowane procenta, przez tychże wyciskane z ludu za długi. Podobnież w Grecji, reformy Solona, między innymi, miały także za zadanie rozstrzygnąć starcie zadłużonego demosu z artystokracją, uprawiającą bezlitosną lichwę.

Przeważnie jednak przeciwieństwa między grupami ludzkimi, wyrosłe na gruncie poza fabrycznym nie przekraczają swoistego kręgu i nie wiodą ku wytworzeniu odrębnych form społecznych. Grupy jakie w tym wypadku powstają, tworzą przeciwieństwo o charakterze czysto osobistym. Każdy dłużnik nienawidzi tylko *swego* wierzyciela; każdy lokator *swego* tylko kamienicznika. Tak po jednej, jak i po drugiej stronie, niema zazwyczaj gruntu, na którym powstać by mogła wspólność i wzajemność interesu.

Wszelako nie znaczy to bynajmniej, aby namienione wyżej przeciwieństwa nie dawały się odczuwać dotkliwie i boleśnie tym, przeciw którym ostrze swe zwracają. Dają się one we znaki tak dalece, iż celem ich usunięcia, a po części złagodzenia, gospodarka społeczna powołała do życia rozległe urządzenia, których dążeniem jest najdoskonalsze możliwie zrównanie obu rzeczonych biegunów konfliktu. Przeciwieństwu między kamienicznikiem a lokatorem stara się zaradzić budowa miast-ogrodów, wspaniałe już wydająca plony na wyspach Wielkiej Brytanji. Przeciwieństwo między kupcem a spożywcą usiłują znieść organizację współdzielcze, kółka rolnicze, zrzeszenia wytwórcze i t. d. Tworzenie kas wzajemnego kredytu, towarzystw popierania drobnego przemysłu, instytucji pożyczkowo oszczędnościowych dąży do wyzwolenia dłużnika z pęt lichwy i unicestwienia w samej zasadzie możliwości tego dramatu, w którym Szekspir Shylokowi przeciwstawił Antonia. Do podobnych i pokrewnych im celów służą też poniekąd związki zawodowe, a także coraz nowe przeróżne urządzenia oraz instytuty prawne, dające wyraz tak zwanym *reformistycznym* dążnościom radykalizmu i socjalizmu. Należy tu np. bezsprzecznie podatek dochodowy, wzrastający proporcjo-

---

I jakże porywająco pięknym symbolem zwycięzkiej duszy człowieka, zwycięstwem ludzkości ponad żywiołem, jest ów anglik młodzieniec, bohater cywilizacji, wołający o pomoc braterską na wschód i zachód, który miast na własną rękę ratować się w obłędzie dzikiego popłochu, wzywał rozumnie i mężnie skutecznej przemocy dla wszystkich, i któremu dopiero śmierć z rąk wytrąciła iskrowy aparat, niby rycerską na polu bitwy szpadę.

Echo tajgi.

Ale jednocześnie niemal z echem zagłady „Titanica", z przeciwnego krańca globu dobiega nas echo innej katastrofy: katastrofy w kopalniach złota na Lenie. Rozegrała się ona również, jak tamta, śród lodowatej pustyni, lecz jakże inny, biegunowo odmienny zwiastuje dramat.

Głód i nędza zapędziły w dalekie tundry sybirskie bezwładną gromadę ludzką, której ręce robocze nabyć mógł każdy, a która sama dla siebie nie posiadała nic. Jest to gromada ta sama, która płaci podatki, zaściela pole wojen, dobywa węgiel i żelazo z mroków podziemnych, leje ze spiżu armaty i stal przekuwa na karabiny, wreszcie wytapia złoto dla kaprysów zbytku i wykwintu. Z otchłani swego upośledzenia zwrócili się ci ludzie do braci swych, — nie do ślepego żywiołu, ale do ludzi czujących jak oni, — mówiąc ze skargą:

— Miast chleba, rzucacie nam kamienie!

Spotkali się z gradem kul...

Przedśmiertny jęk rozdarł lodowatą ciszę pustyni, i zamarł beznadziejnie, jak tam — na „Titanicu".

Czemuż jednak jęk i wołanie tamto pozwala nam, mimo całą zgrozę nieszczęścia, nosić czoło dumnie i w przyszłość spoglądać otwarcie zdobywczymi oczami, gdy echo tajgi sybirskiej pierś człowieka przygniata wstydem bolesnym?..

nalnie do wysokości dochodu i kładnący się przemożnym ciężarem na warstwy bogate.

Te wszystkie reformy nie wiążą się zupełnie z zasadniczym pojęciem *walki klas*, określonym przez Marksa. Urzeczywistnienie znajdują one już w łonie ustroju kapitalistycznego. Dla dokonania swego nie wymagają one owej walnej rozprawy między pracą a kapitałem, która zowie się Rewolucją Społeczną: przeciwnie, dochodzi się do nich w drodze powolnej, stopniowej ewolucji.

Ewolucja ta, jednakże, wedle dogmatu marksistów, nie zastąpi i zastąpić nie może rewolucji, która ma być ostatecznym i jedynym rozstrzygnięciem zasadniczego a n t a g o n i z m u k l a s o w e g o.

Jakież tedy, w pojęciu marksistów, jest zadanie akcji reformistycznej?

Otóż, tłomaczą oni, stopniowe realizowanie reform społecznych przygotowywa grunt dla ostatecznej wielkiej rozprawy rewolucyjnej: mianowicie, p o s t ę p r e f o r m d ą ż y d o o b n a ż e n i a m o m e n t u r e w o l u c y j n e g o.

Istotnie, w miarę rozwoju i postępu działalności reformistycznej, powoli znikają kolejno przyczyny, uzbrajające proletarjat przeciwko burżuazji dla względów niezależnych od zasady czysto klasowej. W ten sposób, po usunięciu przyczyn wtórnych, dla których praca przeciwstawia się kapitałowi, pozostanie wyłącznie zasada klasowa, t. j. ostateczny i niepodobny już do zażegnania żywioł antagonizmu między robotnikiem a fabrykantem. Wówczas to, ale wówczas dopiero, antagonizm ów wyłoni się w postaci najjaskrawszej, wstępując w fazę decydującą, i ściągając na głowę kapitalizmu niechybny miecz Damoklesa, zawieszony już nad nim od tak dawna.

Najdonioślejsze reformy, dokonywane w łonie kapitalizmu, nie podważają w niczym istoty kapitalizmu: — oto wniosek ostateczny marksizmu. Reformy uprzątają jedynie pole, na którym kiedyś rozegra się śmiertelny bój klas.

Takie jest zdanie Artura Labrioli, reprezentującego dziś jeden z krańców lewego skrzydła socjalizmu. Wierzy on w cudowną skuteczność Rewolucji Społecznej, ale całą siłą pragnień rwie się ku najbliższym zadaniom pracy reformistycznej. Wierzy w Apokalipsę, która zapowiada raj wieczny, ale nie zaniedbywa ewangelji, głoszącej doraźne przykazania na dzień dzisiejszy. W swoim widzeniu przyszłości dostrzega on tak olbrzymie obszary zadań na drodze proletarjatu, iż nie lęka się wyczerpania jego żywotności bojowej w osiągnięciu korzyści blizkich i bezpośrednich. Owszem owe korzyści realne, zdaniem jego, nie przeciwiące się w niczym rewolucji, konieczność jej krystalizują i uzasadniają. Kraj cały lub klasa, — powiada on, — tym bliższa jest proga Rewolucji Społecznej, im radykalniej usunięte są zatargi poboczne, mogące dzielić między sobą klasy. Im wyższy jest dobrobyt klasy robotniczej, tym rychlej dojrzeje żniwo rewolucji, — kończy swój wniosek ekonomista włoski.

Z wnioskiem tym zgodzić się możemy, pojmując przez Rewolucję Społeczną ostatni etap wyzwolenia się obywatela — jako wszechstronnie wolnego człowieka — w robotniku.

Aliści etap ów ostatni jakże od nas jeszcze daleki! Dzielą go od nas całe przestwory reform stopniowych, prac mrówczych, udoskonaleń gospodarczych, technicznych, zrzeszeniowych, organizacyjnych, zawodowych na każdym polu, na każdej niemal skibie społecznego życia. A do podjęcia prac owych zali mamy już wolne ramiona? gotowe dłonie? wyćwiczone mózgi?

W tym chaosie i nawale narodowej poniewierki tudzież zaległości kulturalnych, które w porównaniu z Zachodem ciążą na wszystkich warsztatach pracy publicznej i niemal miażdżą je swym ciężarem, któż zdoła rozpoznać bolączkę klasową w odróżnieniu od całego splotu bólów, trosk i tragedji zbiorowych całego społeczeństwa? A z jątrzenia onej któż balsam dobyć potrafi dla uśmierzenia bólów całego ogromu, targających bytem narodowym?

Labriola, w wolnej i samorządnej pracujący ojczyźnie, żąda nieskończonego szeregu reform, jako podstawy, na której dopiero zarysuje się ostateczne przeciwieństwo pracy i kapitału, ostatnia nabrzmieje i pęknie bolączka społeczna.

Skoro jednak we Włoszech, gdzie potęga maszyny państwowej od półwieku pracuje dla dobra swego społeczeństwa, uczeni nie ważą się całego obszaru niedoli kłaść na karb zasady klasowej, ale dostrzegają liczne źródła zła, wyzysku, krzywdy, niesprawiedliwości oraz uciemiężenia poza fabryką, poza stosunkiem fabrykanta do robotnika, to cóż mówić o kraju naszym, który potęgą państwową nie rozporządza?

Niestety, najbardziej optymistyczne postawiona djagnoza nie umiejscowi cierpień naszego kraju na terenie starć klasowych. Szeroką niestety falą cierpienie to rozlewa się poza mury fabryczne, i wsiąka w lochy głębsze od szybów sosnowickich.

Cóż zdoła *zasada klasowa* powiedzieć robotnikowi, gdy zapyta, dlaczego nie istnieją u nas związki zawodowe?

Jakąż wleje ona w serce c h ł o p a - z a r a n i a r z a otuchę, gdy ksiądz go wyklnie, biskup zadenuncjuje a wieś rodzona opuści?

Ale nie mnóżmy przykładów. Pijemy wszyscy z morza goryczy Będziemy-ż liczyć i odmierzać jej krople? Wszak nie o to nam chodzi. Staraliśmy się jedynie wykazać, że klucz do wolności klas pracujących da się uzyskać jedynie po długiej pracy przygotowawczej na polu kultury i całym szeregu reform politycznych.

St. Romanowski.

BADANIA NAUKOWE.

Szkice z dziedziny fizjologji i patologji.

Nowe badania nad istotą i leczeniem nowotworów złośliwych.

W każdym ustroju wielokomórkowym składające go komórki podlegają bez przerwy różnorodnym wpływom niszczącym, obumierają, a ich miejsce zajmują nowe komórki: naprz. powierzchowne komórki naskórka i nabłonka złuszczają się ciągle, ale straty te wyrównywa rozmnażanie się komórek w głębokich warstwach nabłonkowych. Bez przerwy więc w ustroju zachodzi nowotworzenie się komórek; ujęte jest ono jednak w karby, uwarunkowane potrzebą ustroju. Dość często jednak spotykamy się z rozmnażaniem komórek, nie wywołanym żadną potrzebą widoczną, nie dążącym do wyrównania żadnych strat komórkowych: w pewnym miejscu ustroju zaczyna się wzmożone rozmnażanie komórek, zachowujących mniej więcej charakter tkanki, która dała im początek — powstaje nowotwór. Różnice pomiędzy normalną tkanką a tkanką nowotworową, w miarę rozrostu nowotworu, stają się coraz bardziej wybitne, występują nowe cechy, właściwe tylko nowotworom. Przedewszystkim uderza bezładny, gwałtowny rozrost komórek; masa nowotworowa powiększa się, przezwycięża opór stawiany przez otaczające tkanki, niszczy je, niszczy zbudowane z nich narządy. Rozumie się, że tak gwałtowny rozrost nowotworu, wymaga dużej ilości materjałów odżywczych, pozbawia więc inne tkanki i narządy niezbędnego dla normalnej ich czynności pożywienia; upośledza ich działalność. Wrastając w otaczające go tkanki, nowotwór niszczy narządy, a tym samym uniemożliwia niezbędne tych narządów dla całego ustroju czynności. Widzimy więc, że każdy nowotwór będzie dla ustroju szkodliwy, ale niektóre z nich np. raki i mięsaki (nowotwory powstałe z tkanki nabłonkowej i łącznej) odznaczają się niektórymi cechami, które tę złośliwość jeszcze bardziej potęgują, mianowicie komórki nowotworowe od wrastającego w naczynia limfatyczne lub krwionośne nowotworu mogą się odrywać, z biegiem limfy dostają się do gruczołów limfatycznych, z potokiem krwi mogą zawędrować nawet do bardzo oddalonych od miejsc powstania nowotworu okolic ustroju, i tam dają początek nowym masom nowotworowym, powstają t. zw. przerzuty w różnych narządach. Na tym się jednak nie ogranicza złośliwość nowotworów: w komórkach nowotworowych, jak i we wszystkich komórkach zachodzi przemiana materji, wytwarzają się różne ciała, obce normalnym komórkom ustroju, ciała te krążą we krwi i jak wykazały badania Roger'a i pani Girard Mangui zatruwają ustrój. Ustrój więc, w którym rozrasta się nowotwór, cierpi wskutek użytkowania materjałów odżywczych dla niepotrzebnego rozrostu komórek nowotworowych, cierpi wskutek niszczenia przez nowotwór niezbędnych narządów i nakoniec zostaje zatruwany, wytwarzanymi przez nowotwór truciznami. Rozumie się, że opierać się tym wszystkim szkodliwym czynnikom ustrój może tylko przez czas krótki, następuje coraz większe wyniszczenie ustroju i śmierć. Kto choć raz widział chorego na raka, ten łatwo sobie zda sprawę z tego strasznego, niszczącego działania nowotworu na ustrój. Jakie przyczyny wywołują nagłe powstanie i nieokiełzany rozrost tkanki nowotworowej, dotychczas odpowiedzieć nie potrafimy. Dotychczasowe badania nie wiele zdołały uchylić rąbka tajemniczej zasłony, okrywającej powstawanie nowotworów.

Cohnheim przypuszczał, że podczas rozwoju ustroju grupy komórek zarodkowych pozostają zatrzymane w rozmnożaniu; grupy te komórek długi czas mogą pozostawać w spokoju, dopóki bliżej dotychczas nieznana przyczyna nie wytrąci ich z równowagi i nie obudzi ich zdolności rozrodczej; zaczyna się wtedy ten niepohamowany i bezładny rozrost, jakim charakteryzuje się tkanka nowotworowa. Nietylko jednak komórki zarodkowe, ale wszystkie komórki ustroju posiadają, jak to widzieliśmy, zdolność ciągłego rozmnażania się, każda więc według Bard'a w każdej chwili może się stać rodzicielką nowotworu; normalnie jednak każda komórka ustroju znajduje się pod wpływem wszystkich innych komórek i wpływ ten hamuje tę zdolność rozrodczą; wystarcza jednak, żeby jakakolwiek komórka wyłamała się z pod tego wpływu i oto ograniczenie znika, zaczyna się rozrost nieregulowany oddziaływaniem innych komórek; mamy tu do czynienia z buntem niejako komórki przeciw ograniczeniom jej wzrostu przez inne tkanki ustrojowe.

Bliższe poznanie nowotworów wykazało, że zdarzają się przypadki zarażania się rakiem, notowano epidemje domowe nowotworów złośliwych i stąd zrodziło się przypuszczenie, czy przyczyną, wywołującą rozrost komórek nowotworowych, nie jest jakiś drobnoustrój swoisty? Pytanie to dotychczas nie zostało rozstrzygnięte, pomimo, że opisano cały szereg pasorzytów, jakoby swoistych dla raka np.: dwoinki Reppin'a, micrococcus neoformans Doyen'a, pierwotniaki (Leyden i Schaudinn) krętki (Hoffman i Borel). Oryginalną i śmiałą hypotezę wypowiedział Jaboulay, rak, według niego jest tkanką pasorzytniczą, która wrasta w tkanki ustrojowe i powoduje zwyrodnienie składających je komórek. Widzimy więc, jak daleko jeszcze jesteśmy od poznania rzeczywistej przyczyny powstawania nowotworów złośliwych, nawet jeszcze co do ich istoty zjawiają się u niektórych badaczów wątpliwości, np. pogląd Jaboulay'a; dopiero w ostatnich latach badania Ehrlicha, przeprowadzone z właściwym temu uczonemu rozmachem, oparte na olbrzymim materjale doświadczalnym, jakim dotychczas nikt nie rozporządzał, chociaż nie wyświetliły ostatecznie przyczyny powstawania nowotworów, usunęły jednak wiele wątpliwości i rzuciły jasny promień światła w tę, dotąd mroczną dziedzinę bjologji. Ehrlich badania swoje prowadził nad złośliwymi nowotworami myszy. Badając zdolność przeszczepiania tych nowotworów, doszedł do stanowczego wniosku, że przeszczepianie raka nie jest identycznym z zarażeniem zdrowego zwierzęcia jakąś chorobą zakaźną, jest to zupełnie to samo, co przeszczepianie tkanek z jednego zwierzęcia na drugie, i dlatego przeszczepiania są możliwe jedynie w obrębie tego samego gatunku i jedynie nieuszkodzonych komórek nowotworowych. Powstanie nowotworów objaśnia Ehrlich wystąpieniem zmienionej chciwości pewnych komórek ustroju. Komórki, stanowiące ustrój, posiadają pewien stopień chciwości ku materjałom odżywczym, krążącym we krwi; jeżeli ogólna chciwość komórek ustrojowych zmniejszy się, to normalna chciwość pewnej grupy komórkowej wywoła wzmożone jej odżywianie się i roz-

rost, komórki te w stosunku do ustroju będą jakby pasorzytem, zaczną się odżywiać kosztem innych komórek. Jeżeli po zaszczepieniu szybko rosnącego nowotworu, zaszczepimy temu samemu zwierzęciu nowy nowotwór, to ostatnie szczepienie będzie bezowocne, bo chciwość komórek pierwsze go pozbawi komórki drugiego niezbędnych dla nich materjałów odżywczych. Pozostaje jednak niewyjaśnionym pytanie, jakie przyczyny wywolają takie zmniejszenie chciwości komórek ustrojowych, lub też, jak chcą inni, zwiększenie chciwości komórek nowotworowych?

Przytoczyłem hypotezę Ehrlicha nieco szczegółowiej, bo, chociaż nie objaśnia nam ona wszystkich właściwości nowotworów złośliwych, np. ich toksyczności, to jednak, oparta na ścisłych badaniach doświadczalnych, niezmiernie logiczna, łącząca się w ścisłą całość z innymi poglądami genjalnego badacza, zdaje się otwierać nowe horyzonty dla zrozumienia tych powiklanych spraw bjologicznych i zbliża nas tym samym ku praktycznie najważniejszemu zagadnieniu: leczeniu tych strasznych cierpień. Dotychczasowe usiłowania, oparte albo na grubym empiryzmie, albo na błędnych założeniach teoretycznych, nie mogły dać i nie dały żadnych wyników, jedynie nóż chirurga, o ile nowotwór jest dlań dostępny i o ile nie nastąpiły jeszcze przerzuty, mógł dawać nadzieję uwolnienia ustroju od niszczącego go nowotworu. Świetne wyniki, otrzymane przez Ehrlicha w leczeniu chorób świdrowcowych przy pomocy chemoterapji zwróciły uwagę badaczów do szukania rozwiązania na tej drodze. Jasnym jest, że jedynie znalezienie ciała krążącego we krwi i mającego powinowactwo wyłączne do komórek nowotworu mogło rozwiązać zagadnienie. W tym kierunku zwrócił swe usiłowania A. Wasserman.

Rok temu, chcąc się przekonać, czy komórki tkanki nowotworowej żyją dłużej w surowicy krwi chorego czy zdrowego osobnika, użył Wasserman jako wskaźnika odczynnika Gosio, mianowicie selurjan lub telurjan sodu, które w obecności żywych komórek dają czarny lub czerwony metaliczny osad. Dokładne badanie tkanek wykazało, że największy osad otrzymano w komórkach nowotworu najszybciej rosnących, w których więc zapotrzebowanie na tlen było największe, więc i zdolności redukcyjne największe. Opierając się na tych własnościach wiązania przez komórki nowotworowe selenu i teluru, zastosowano je miejscowo, wstrzykując wprost w tkankę nowotworową selenjan i telurjan sodu i we wszystkich przypadkach otrzymano rozpłynięcie się tkanki nowotworowej, zupełne jej zniszczenie. Doświadczenia jednak nad wstrzykiwaniami tych związków do krwi, żeby drogą krwiobiegu doprowadzić je do nowotworu nietylko zawiodły oczekiwania, ale okazały się dla myszy, na których robiono doświadczenia, trującymi i dane związki chemiczne nie dosięgały komórek nowotworu. Należało szukać ciała, szybko przepajającego tkanki, bo nowotwory rakowate myszy są bardzo niedostatecznie unaczynione i odżywianie ich odbywa się głównie przy pomocy naczyń krwionośnych, na obwodzie nowotworu leżących. Taki związek znaleziono w połączeniu cosyny z selenem. Po zastrzyknięciu selenjanu cosyny bardzo prędko występuje różowe zabarwienie, widoczne np. w oczach; po kilku wstrzyknięciach nowotwór rozmiękcza się i zamienia się na worek, wypełniony masą rozpuszczonych komórek nowotworowych, wybitnie zabarwionych na kolor różowy, wtedy, gdy otaczające tkanki są albo bardzo mało zabarwione, albo zupełnie bezbarwne, mamy więc tutaj szczególne wiązanie selenjanu cosyny przez komórki nowotworowe. Wyzdrowienie następuje zupełne i trwałe.

W otrzymanych wynikach genjusz Ehrlicha, którego badania dały bodziec do szukania środka leczniczego przeciwrakowego na drodze przezeń odkrytej, święci nowy tryumf. Przedwcześnie byłoby wyprowadzać zbyt pospieszne wnioski co do możliwości leczenia nowotworów złośliwych u człowieka, pierwsze jednak kroki zrobiono, i należy oczekiwać, że niedaleka przyszłość pozwoli myśli ludzkiej znowuż zapanować nad jednym ze zjawisk przyrody, i usunie z ciernistej drogi ludzkiego życia jeszcze jedno źródło cierpienia i łez. Obyż się to stało jaknajprędzej!

D-r K. Pawlikowski.

KRYTYKA.

Zygmunt Krasiński.

XXII.

Kiedy Hegel nauczał, że Bóg dochodzi do samowiedzy o sobie dopiero w człowieku, że Bóg bez człowieka nie wiedziałby o tym, że jest Bogiem, na obronę Boga, który mógłby się rozpłynąć w człowieku, powstał Schelling. Schellinga przeraziła myśl, że, ponieważ wszystko, co jest, jest Bogiem, więc od Boga ma i zło pochodzić. Rozszczepił on Boga na uświadomionego i Boga w naturze, niedoszłego do samowiedzy, lecz uświadamiającego się w szeregu tworów coraz doskonalszych. Opór jaki znajduje myśl Boża w tym, co nie jest jeszcze Bogiem, jest właśnie zło. Ostatecznie wszystko stanie się Bogiem. Krasiński w swym „Synu Cieniów" idzie śladami Schellinga, lecz nie bezimienne i bezosobowe stopienie w Bogu jest kresem jego myśli i pragnień. Za przykładem Cieszkowskiego, Bóg Krasińskiego jest osobisty i człowiek, dotwarzając siebie, karmiąc się Bogiem, po szeregu metamorfoz zostaje jednostką, nie traci osobowości.

XXIII.

W „Niedokończonym poemacie" Krasiński mówi, że nie jest hańbą, iż wskazać może, gdzie za ojczyznę gardło dał nie jeden z jego przodków i w jakim leży pochowany kościele. Nie jest to hańba, lecz rzecz niebezpieczna dla filozofa ciągła uroczysta obecność tłumu słynnych przodków onieśmiela. Człowiek, zapatrzony w przodków, chce być takim, jak oni. Bardzo wcześnie, kiedy u młodzieńców rzeczą zwykłą jest niecierpliwy bunt, po którym najczęściej idzie skrucha i powrót syna Marnotrawnego, pisze Krasiński (w r. 1831): „Ja, com widział krzyż na Koloseum, nie dam się zwieść kilku szaleńcom i nie będę wierzył temu, w co nie wierzyli moi ojcowie". Z tego wypływa: gdy Krasiński miał lat 19 — już przodkowie rozgospodarowali się w nim na dobre i pozbawili go wolności myślenia.

XXIV.

Szereg faktów z życia każdego człowieka może być źródłem domysłów najróżnorodniejszych. W czym jeden uzna potężne parcie umysłu, albo łaskę boską, w tym inny właśnie poddanie się skłonnościom atawistycznym, pewną bierność wczesne znużenie. Że Krasiński należał do istot już na progu młodości znużonych — rzecz to najmniej wątpliwa chyba z pośród tego, co się tyczy tego poety.

„O młodości, jakeś ty piękna z twym żalem Aleksandra, że niema więcej z kim walczyć! (Strindberg).

Dla młodzieńca Krasińskiego — przeciwnie „ci tylko sławni po wszystkie wieki, którzy zamęt uciszają". Jakże charakterystyczne dla niego jest to utopienie zapasów czysto ludzkich w „Irydjonie" i „Nieboskiej" w lazurach niebios, krzyżu i Chrystusie! Pisał on do Reeve'a w r. 1831, że trzeba się mierzyć z przeznaczeniem — to jest z wolą ludzi i okoliczności. Lecz zaraz potem ukazuje przyjacielowi promienisty miraż wytchnienia po znużeniu walką — w idei Boga Miłości... To wracanie do Boga Miłości jest jakby karmieniem się Bogiem, które przywraca siły, aż wreszcie, gdy zapasy skończone, Opatrzność otworzy Niebiosa, poda rękę „i wszystko się skończy wśród potoków światła, zachwytu wiary i miłości."

„Wśród potoków światła", które nie będą razić chorych oczu, jak tu na ziemi! Mając duszę genjalną, ciało chore i tłum przodków — Krasiński wcześnie zaczął budować między sobą a ziemią ten mur, z poza którego już tylko niebiosa było widać. Że wybrał to, a nie coś innego, jak inny w podobnych okolicznościach byłby uczynił, może być, rzecz prosta, tłumaczone tylko bardzo niedokładnie i częściowo. Inaczej otrzymywałoby się duszę ludzką — produkt dziwnego gatunku, w której jest wszystko zrozumiałe, gdy tymczasem dusza najprostszego człowieka wiąże się z głębiami rzeczy niedocieczonych.

Leon Choromański.

W obronie Mickiewicza.

Warszawskie Towarzystwo Zachęty do Sztuk Pięknych posiada swoje zbiory, które rok rocznie uzupełnia zakupami i darami. Krytyka jednak warszawska, śledząca pilnie wystawy bieżące Zachęty, do zbiorów tych bardzo rzadko, lub bodaj wcale nie zagląda. Komitety Zachęty — mało zresztą zmienne, więc raczej: Komitet Zachęty gospodarzy w tych zbiorach, bez żadnej ze strony społeczeństwa kontroli. Nie idzie za tym, żeby ta gospodarka była zła: owszem, wiele w ostatnich latach bardzo cennych dzieł tam przybyło. Ale są też wśród nich rzeczy tak nieoczekiwane—z punktu widzenia gustu i znawstwa, jakie dotychczas Komitet chlubnie wykazał, rzeczy tak czasem skandalicznie brzydkie i niżej wszelkiego poziomu artystycznego stojące, że ich żadną miarą z owym nustem i znawstwem Komitetu pogodzić nie można. Skąd się one w zbiorach znalazły? Jaką drogą tego zaszczytu dostąpiły? Oto pytania, które radbym Komitetowi postawić, chociaż wiem, że na odpowiedź liczyć nie mogę...

Gromadzenie zbiorów musi podlegać pewnej myśli przewodniej i pewnemu wyższemu poziomowi wymagań artystycznych. Dzieła gromadzone nie mogą zbytnio odskakiwać od siebie wartością swoją, w przeciwnym razie musi nasuwać się przypuszczenie, że wyborem rządzą tu jakieś względy poboczne, ze sztuką nic nie mające wspólnego. A do tego właśnie wniosku prowadzi np. jednoczesne niemal zakupno doskonałej „Głowy staruszki" Weissa i „Robotników" Lentza, co razem żadnym sposobem w jeden gust i w jedno znawstwo włożyć się nieda.

Nie chodzi tu o różne szkoły malarskie, o różne sposoby widzenia i pojmowania świata, ale o zasadnicze wartości samej roboty malarskiej, które to wartości w „Robotnikach" — w porównaniu z portretem Jabłonowskiego również pędzla p. Lentza — schodzą wprost do zera, a już z obrazem Weissa porównywać się nawet nie dają. Rozumiem zakupno „Głowy staruszki", rozumiem zakupno portretu Jabłonowskiego, ale zakupna „Robotników" zrozumieć nie mogę mimo najłagodniejszych wymagań.

Lecz nawet ci — wszelkiej pozbawieni wartości — „Robotnicy" p. Lentza wydadzą się dobrą, a co najmniej nierażącą pracą wobec dwóch dzieł, które od pewnego czasu „rywalizują" w sali zbiorów z „Grunwaldem" Matejki — wobec mianowicie „Improwizacji" p. W. Szymanowskiego i „Portretu Mickiewicza" p. H. Piątkowskiego.

Oba dzieła za przedmiot swój mają wielkiego poetę narodowego i z powodu obu tych dzieł muszę tu stanąć nie już w obronie zbiorów Zachęty, albo wogóle gustu i znawstwa, jakie szerzyć mają wśród ogółu polskiego te zbiory, lecz wprost w obronie Mickiewicza, którego ośmieszanie i poniżanie nie leży chyba w zakresie zadań i celów Towarzystwa Zachęty.

Rzeźba p. Szymanowskiego przedstawia człowieka, leżącego w kurczach epileptycznych, człowieka z wynędzniałą głową, z maleńkimi ustami pół-otwartymi, z jedną ręką wyciągniętą o palcach pokrzywionych (druga jest wpuszczona w gips i niewidzialna) i z nędznymi rozstawionymi nóżkami... Głowę tego mężczyzny podtrzymują dwie postacie i zawodzą nad nim jakoby. Wszystko razem daje wrażenie jakiegoś realistycznie odtworzonego wypadku na ulicy: mężczyzna w tużurczynie obszarpanym i w cieniutkich spodenkach upadł, trzęsie się i krzyczy, a nad nim płaczą dwie dziewczyny. To ma być „Improwizacja", to ma być Mickiewicz...

Można chybić — największemu artyście zdarzy się chybić w dziele i upaść, ale i upadek świadczyć może o szlachetnych i górnych zamiarach. W dziele p. Szymanowskiego nie widzi się nawet upadku, nawet chybienia. Nie było w nim żadnych zamiarów wyższych, żadnego wżycia się, żadnej próby wżycia się w temat obrany. Do Mickiewicza — do tego ducha o tak jednolitej, prostej i silnej budowie, do improwizacji — do tego momentu tak skupionego, tragicznego i wzniosłego p. Szymanowski podszedł, jak do zdarzenia powszedniego, jak do człowieka drobnego, do którego byle model pozować może, którego byle wypadek uliczny może być ilustracją.

Widz stojący nad tym gipsem biednym, oglądający z góry tę wychudzoną postać odzianą

w coś, co może być równie dobrze koszulą, jak i wytartym tużurkiem z frendzlami (gdyż tak frendzlowało jest „modelowany"), widz tę nędzną, krzyczącą postać oglądający, może tylko politowanie odczuć i coś w rodzaju wstrętu, jakiego się przy smutnych wypadkach ulicznych doznaje.

Nietylko zgodzić się nie można na takiego Mickiewicza, lecz w imię wielkości poety i tej aureoli, jaką go naród otoczył, należy najusilniej zaprotestować przeciw wystawianiu na widok publiczny tak poniżających poetę produkcji „artystycznych". Tu już nie o artystę chodzi — miał prawo złe dzieło źle wykonać — ale o Towarzystwo Zachęty, które nie ma prawa ośmieszać Mickiewicza w oczach całego świata, ani też psuć gustu i obniżać i tak już niewysokiego poziomu artystycznych wymagań naszej publiczności.

Mogła sobie owa „Improwizacja" być przyjęta na wystawę bieżącą, ale w stałych zbiorach Zachęty obowiązuje *census* o wiele wyższy i tu już na Komitet spada odpowiedzialność na przeciąg lat i pokoleń całych.

Odpowiedzialność ta — za „Improwizację" — jakkolwiek wielka, maleje nieco jednak, gdy się rzeźbę p. Szymanowskiego porówna z „Portretem Mickiewicza" roboty p. Henryka Piątkowskiego. Tu już najpotworniejszy sen rzeczywistości dorównać nie zdoła. Kto nie widział, lub uwagi nie zwrócił, tego proszę, niech umyślnie pójdzie przyjrzeć się „Mickiewiczowi" pana Piątkowskiego. Wisi na prawo od wejścia, w kącie obok aktu Gersona.

Ów „Mickiewicz" p. Piątkowskiego jest-to stary, wytresowany i wygolony na mordzie, poczciwy zresztą i śpiący *szympans* w tużurku, grzecznie na krzesełku usadowiony i cygaro w łapie trzymający. Albo, w najlepszym razie, jest-to siwy, zapijaczony i senny Bawar, odświętnie odziany i sztywno z cygarem w czerwonej łapie pozujący.

Żadna najordynarniejsza nieudolność na nic podobnego zdobyć się nie zdoła. Warszawa powinna zwrócić specyjalną na ten portret uwagę: jest-to *curiosum*, jakiego się na całym świecie nigdzie nie spotka.

Paryż miał swojego Rousseau, który w salonie Niezależnych wystawiał przedpotopowe geologiczno-zoologiczne krajobrazy i portrety mieszczańskie gorsze od fotografji żołnierskich, jakie jeszcze można w małych mieścinach napotkać. Paryż był dumny ze swojego Rousseau, jak może być dumne tak wesołe miasto z karlika potwornego, który jest zabawą bulwarów i kawiarni. Ale Rousseau jest genjuszem wobec dzieła p. Piątkowskiego.

Gdyby Warszawa mogła sobie pozwolić na paryską wesołość, to znaczy gdyby posiadała kulturę Paryża, przy której, jak przy stole królewskim znajdzie i karlik miejsce dla siebie odpowiednie, mogłaby być od Paryża dumniejsza z powodu wiekopomnego dzieła p. Piątkowskiego. A to tembardziej jeszcze, że na to dzieło złożyła się nietylko praca artysty, nietylko dobra wola Komitetu, który je do zbiorów Zachęty przyjął, ale nadto wielkoduszność i wspaniałomyślność magnata i mecenasa sztuki, który dzieło to Towarzystwu Zachęty ofiarował.

Oto na wspaniałej ramie widnieje złota tabliczka, a na niej pięknymi literami wyryto:

Adama Mickiewicza
Portret
Towarzystwu Sztuk Pięknych
w Warszawie
Adam hr. Orłowski.

a tuż pod napisem herb szlachecki otoczony wstęgą, zaś na tej wstędze następujący napis tajemniczy:

A. D. 99 Bis crucifer A. D. 1199.

Nie wiem co owa wstęga tajemnicza znaczy, lecz może to Komitet wytłómaczyć raczy?... A jeśli i Komitet nie wie, to możeby zechciał przynajmniej postawić naprzeciw dzieła p. Piątkowskiego dla widzów kanapę lub fotel, żeby mogli pękać ze śmiechu wygodnie i tak długo, jak na to pp. Piątkowski, „Mickiewicz" i Orłowski zasługują — no i Komitet też w tym naturalnie składzie, który dar ten przyjął i w sali zawiesić się odważył...

Ponieważ ja już osobiście taką godzinę śmiechu przed tym obrazem przeżyłem, więc mogę obecnie poważnie do Komitetu się zwrócić *z żądaniem* (co sam uważam za rzecz niesłychaną, lecz niemniej wyjątkowo usprawiedliwioną) — *z żądaniem* usunięcia „Portretu Mickiewicza" p. Piątkowskiego z sali zbiorów i ukrycia go w piwnicach Zachęty, ażeby sobie tam spokojnie gnił, nie obrażając oczu ludzkich i uczuć polskich...

Polsce, owszem, potrzeba śmiechu i wesołości, ale nie kosztem Mickiewicza, który i tak już opłacił się dwoma pomnikami — w Warszawie i w Krakowie.

Co zaś do „Improwizacji", to jeśli Zachęta ma większe wobec rzeźby skrupuły, możeby Komitet przynajmniej zechciał ją na górce umieścić, w sali rysunkowej, gdzie szeroka publiczność nie ma dostępu i gdzie bywają tylko artyści, którzy mają o rzeźbie i o sztuce pojęcie bardziej wyrobione i którym przeto nie grozi skażenie gustu od podobnego widoku. Da on im tylko czasem sposobność do śmiechu i żartów...

St. Pieńkowski.

Z teatrów.

Ostatnią premjerą w Rozmaitościach była komedja Tadeusza Rittnera p. t. „Głupi Jakub". Sztuka napisana pierwotnie po niemiecku (autor pisze w dwóch językach) była wystawiona w Wiedniu, następnie spolszczona via Galicja przybyła do Warszawy.

Twierdzą niektórzy, iż Rittner starannie dba o to, by być zawsze poza nawiasem swoich utworów, iż ma pewną teorję objektywizacji w pisaniu, inni znów mówią, że dyskrytnie usuwa się w cień, ale o swej bytności i stosunku do utworu daje znać niesłychanie subtelną atmosferą delikatnie ironizowanego smutku. Jeżeli i jest ów ironiczny smutek w utworach Rittnera, to tak głęboko ukrył go autor, iż dojrzeć ani wyczuć go nie sposób, natomiast nieodparcie otrzymuje się wrażenie słuszności twierdzenia o teorji objektywizacji. Teorja zaś ta w skutkach swoich daje wyniki fatalne, gdyż tam, gdzie twórca w cień się usuwa, tym samym nie może dać żadnej idei przewodniej w utworze (poza linją fabuły) pomijając już wartości wewnętrzne, ukryte, ów dantejski „sens anagogiczny" prawd głębszych, które tylko bezpośredni widoczny stosunek autora do utworu ujawnia. Najoczywistszy dowód tego widzieliśmy w „Głupim Jakubie". Kilka „objektywnie" zaobserwowanych typów z drobiazgowością fotograficzną niemal poruszało się wzdłuż linji pewnej fabuły przez trzy akty i efekt wreszcie ostateczny był ten, że po zapuszczeniu kurtyny jedna tylko myśl pozostawała: i cóż z tego? Rezultat to po wysłucha-

niu „komedji" bardzo smutny, rezultat wręcz rozmijający się z wrażeniem, jakie musi dawać każde dzieło sztuki. Miast wrażenia — pustka — to zbyt mało. Nie będę wchodził w poszczególne roztrząsania utworu, gdyż analiza rzeczy chybionej w założeniu, jest pracą jałową, przejdę natomiast do gry aktorów, z których czołowe miejsce należy się Frenklowi. Artysta czuł brak ducha w utworze i starał się sam go stworzyć, dał więc nietylko ów drobiazgowo w każdej sytuacji wyszlrychowany przez autora typ, lecz wnętrzny i twórczy o artystycznej prawdzie stosunek swego typu do osób innych i sztuki samej. Nie znam zaiste artysty, któryby w takiej jak „Głupi Jakub" sztuce mógł sobie pozwolić na podobny eksperyment z tak wspaniałym rezultatem, trzeba na to posiadać twórczość Frenkla. Rzecz dziwna, wszyscy krytycy uważają Frenkla za najznakomitszego aktora w Polsce, piszą ustawicznie nasz *wielki, nieporównany, niesłychany* i t. d., ale żaden prawie nie zadał sobie trudu dać „wielkości" tej godne odbicie, żaden poza superlatywami i ogólnikami w rodzaju: „dał świetny typ", „mistrzowsko zagrał" i t. d., nie stara się ująć istoty owego mistrzowstwa, definicji tego artyzmu. Stoi zaś obecnie Frenkiel w apogeum swej twórczości, wzniósł się na szczyt najwyższy, cały jest „prostocie doskonałości Peryklejskiej", jest jak ów norwidowski kłos, który gdy:

> dojrzał jak złoty kometa,
> ledwie że go wiew ruszy,
> deszcz pszenicznych ziarn prószy.

Żałuję mocno, że miejsce nie pozwala mi obecnie na usiłowanie, by określić istotę twórczości tego artysty, postaram się to jednak zrobić przy najbliższej sposobności.

Z innych grających Rapacki również usiłował tchnąć ducha i ciepło w postać swego typu, Ordon-Sosnowska była zupełnie w zakresie swego employ, Bogusławska stała na wysokości intencji autora, pan Janusz zaś absolutnie połapać się nie mógł w mglisto nakreślonej trzeciorzędnej zresztą postaci głupiego Jakuba. Nie pojmuję przytym wyjątkowej od pewnego czasu predylekcji w obsadzaniu wzmiankowanym aktorem per fas et nefas wszystkich możliwych ról, podczas gdy cała czereda kolegów nierównie nieraz odpowiedniejszych pomijaną bywa. Robi się w ten sposób szkodę sztuce, publice i samemu aktorowi.

* * *

Dzieją się jednak na scenie warszawskiej rzeczy, o jakich nie śniło się doświadczonym (nawet i tym najdoświadczeńszym, na zasadzie niewiedzieć jakiego usus'u darmo w pierwszych rzędach krzeseł wysiadującym) teatromanom. Mieliśmy w Teatrze Wielkim dwa z rzędu wieczory klasyczne w dosłownym tego słowa znaczeniu i... teatr był wyprzedany do ostatniego miejsca. Być może że wiele w tym względzie klaść należy na karb ciekawości, gdyż wieczory te urządzone były staraniem i siłami gości przyjezdnych t. z. „Akadamickiego Koła Artystycznego Miłosników dramatu klasycznego w Krakowie", być może, iż snobizm tu odegrał w frekwencji rolę niemałą, jednak czuło się w atmosferze sali pewien głód rzeczy ważniejszych niż „Bębny" i „Cnotliwe Zuzanny": publiczność słuchała przydługich „jednoaktówek" helleńskich względnie stornie oraz stosunkowo mała liczba osób w myśl tradycyjnie warszawskiego zwyczaju na parę minut przed ukończeniem widowiska z trzaskiem i łomotem krzeseł spieszyła do kontramarkarni.

Pierwszy klasyczny wieczór składał się z słowa wstępnego, wypowiedzianego przez znanego poetę Lucjana Rydla z pobłażliwą popularnością ale i rozwlekłością nadmierną. Następnie siłami „Akademickiego Koła" przy współudziale p. Wandy Siemaszkowej odegrano tragedję Sofoklesa p. t. „Edyp król" poprzedzoną prologiem prof. Morawskiego i „ilustrowaną" muzyką prof. Bolesława Wallek-Walewskiego. Aczkolwiek mimo całej kurtuazji dla krakowian wyznać trzeba, iż wykonanie tragedji nie mogło stać na wysokości samego dzieła tym nie mniej wdzięczność im się należy, iż to co dawali traktowane było z pietyzmem dla arcydzieła, wielką dbałością i naturalną inteligencją (ileż razy gorzko uśmiechały się usta na samo wspomnienie o naszych chórzystach i statystach w zestawieniu z chórem Miłośników krakowskich, — pozostaną oni dla teatrów warszawskich ideałem nigdy niedoścignionym).

Nie będę wchodził w rozbiór tej tragedji i następnych, gdyż zasadnicze dane o nich leżą w zakresie zwykłego szkolnego wykształcenia, chcę tylko skreślić parę uwag o sposobie wystawiania t. zw. rzeczy klasycznych, uwag które nasuwały mi się podczas przedstawienia tak „Edypa" jak i Ajschylowskiego „Prometeusza" i Sofoklesowskiej „Antygony" (granych podczas drugiego wieczoru).

Otóż. Niema mowy o tym byśmy mogli wystawiać i grać wielkie helleńskie tragedje tak, jak to czyniono w antycznej Grecji, tak ze względu na układ teatru naszego o tyle różnego od ówczesnych, jak ze względu na zasadnicze różnice w fakturze sztuki amatorskiej tych dwóch epok (wszystkie role grali tylko mężczyźni, używano koturnów i tub zwiększających siłę głosu, ówczesny wreszcie aktor miał twarz nieruchomą — maskę, dzisiejszy zaś właśnie jest bez maski, natomiast — według słusznej uwagi Gide'a — publiczność wkłada na twarz maskę) jak wreszcie ze względu na różnicę wewnętrzną, na stanowisko tragedji w zbiorowej psychice publiki wówczas gdy przedstawienie było wypadkiem, świętem i nabożeństwem zarazem a dziś gdy jest głównie widowiskiem. Niema tedy dziś mowy o tym by wystawienie tragedji greckiej można było zrekonstrukować tak, jak to było ongi.

Trzeba przeto do wywołania ducha tragedji przyłożyć sprawdzian inny, nie mogąc utworu przedstawić dosłownie, objektywnie niejako, trzeba go ująć subjektywnie i dla wywołania możliwie pełnej ekspresji mieć przedewszystkim na uwadze psychikę widza współczesnego, różnicę w stosunku wewnętrznym do utworu jego a antycznego greka. Zrozumiano to zresztą już od dawna, ztąd idą całe szeregi wystawień tragedji klasycznych w różnych interpretacjach, układach, ujęciach od reżysera do aktora włącznie.

Nie widziałem „Edypa" według wystawienia Reinhadta, nie wiem dokładnie na czym ono polega, bo z berlińskich korespondencji w warszawskich pismach niewiele o istocie ujęcia sztuki przez reżysera wywnioskować można, wiem tylko tyle, iż „Edyp" reinhardtowski wstrząsa i porywa.

Patrząc natomiast na wystawianie tragedji u nas przez Krakowian i biorąc osobiste wzruszenie jako sprawdzian, rzec mogę iż tu najmniejsze wzruszenie wywołują te momenty w sztukach, w których dominuje naturalizm. Dlatego to p. Wanda Siemaszkowa artystka o bardzo wysokim napięciu dramatycznym, lecz traktująca rolę zgodnie ze swą indywidualnością i sposobem wypowiadania się naturalistycznym, — nie mogła i nie wzbudzała w widzu tego wzruszenia artystycznego o jakie chodziło.

Dlatego też wszystkie te studja w sztukach

gdzie poza naturalizmem, wybitnym zresztą piętnem kładącym się na całym interpretowaniu Sofoklesa i Ajschylosa przez krakowian, tam gdzie inne elementy ujęcia wybijały się z ogólnego tonu, tam gdzie wielkimi linjami falował patos, tam gdzie głosy chórów stawały na przełęczy śpiewnego skandowania a zwykłej, poprawnej mowy wiersza, tam, gdzie miast blasku, zamieniającego scenę w rodzajową starożytną malowankę, rozlewał się po niej półmrok (ten zwłaszcza seledynowo szary podczas prologu do „Edypa") lub światło matowiało jakimś cienistym przezroczem (początek Antygony), — jednym słowem tam gdzie ponad naturalizmem panował *zjaw*, tam, gdzie napięcie chwil wysokich sięgało poziomów i podnosiło widza ku sobie, tam przemawiali do nas, do ludzi współczesnych, wielcy tragicy świata starożytnego.

Wniosek więc ten wyłania się zupełnie oczywisty: tragedje klasyczne najwłaściwiej jest traktować na scenie jako *zjaw*, coś jakby nasze marzenie o ówczesności. Traktowanie zaś takie wymaga przedewszystkiem bezwzględnego usunięcia naturalizmu, zmierza natomiast do stylizowania dzieła tak wzrokowego (w dekoracjach, w scen układzie, w gestach aktorów) jak słuchowego (w ogólnym sposobie wypowiadania wiersza i w chóralnym układzie dźwięków).

* * *

Teatr Mały wystawił dramat skandynawczyka Sema Lang'a p. t. „Samson i Dalila". Istnieje pewna kategorja utworów scenicznych, którym jakby przewodzi jakaś zła gwiazda, gdyż niczym innym nie można umotywować ich niesukcesu. Sztuki te bywają naogół dobre, odpowiadają nawet warunkom najtrudniejszym: t. z. „sceniczności", a mimo to między nimi a publicznością w szerszym tego słowa znaczeniu niema tego prądu magnetycznego, który ciągnie ludzi na przedstawienia utworu. Do kategorji tej należy też „Samson i Dalila". Sztuka, dobra, mocna, zwarta, z kapitalnie pomyślanymi scenami (prawie cały drugi akt), przepojona najszczerszym liryzmem bez jakiegokolwiek uciekania się do tak nieodparcie działającej ze sceny nawet na inteligentne audytorjum „łezki", z doskonale narysowanymi typami osób działających, — a jedn... przeszła bez wrażenia. Jest to jeszcze jeden przyczynek do psychologji sfinksa zwanego „publiką".

Sztuka grana była jak na siły Teatru Małego doskonale, role tak wyjątkowo pasowały do charakteru poszczególnych aktorów (nawet do ich wad) iż rzadko da się podobny konsonans spotykać, przyczem postać tytułowa w interpretacji p. Jaracza wyrosła na pierwszorzędną kreację. P. Jaracz młody jeszcze a utalentowany artysta, sięgnął w „Samsonie i Dalily" do takich w sztuce aktorskiej tonów, które mistrzom tylko służą, sięgnął i ujął je. Stworzył głęboki *wewnętrzny* typ poety (w istotnym sensie, nie zawodowym) i rozwarł przed oczyma słuchaczy jedno serce krwią ociekające, biedne a tak w bólu swym olbrzymie. Moment ten, moment gdy poeta w krótkich prostych słowach uzewnętrznia dramat swego życia (koniec aktu drugiego) pozostanie na długo w pamięci widzów, jako wspomnienie istotnego głębokiego wzruszenia.

Kazimierz Wroczyński.

Zofja Cieszkowska (*Sarjusz*): „**Krzyk życia**" szkic psychologiczny. Nakład drukarni L. Bilińskiego i M. Maślankiewicza, Warszawa, 1911.

Poruszono w tym „szkicu" kwestję stosunku obu płci, autorka żąda zrównania praw *samca* i *samicy*, praw wolnego wyboru; żąda porzucenia przez kobietę „pozy wyczekującej, usankcjonowanego wstydu niewieściego", gdzieindziej znów wyznaje, że „szczęście swe kobieta, jak kulę kryształową, w mężczyzny składa dłonie, i od niego zależy, czy tę kulę nieść będzie, jak lampę płonącą, której światło rozjaśni jej życie, czy też rzuci o ziemię i potłucze w drobne kawałki, których kokieta nie poskleja już — nigdy". Bohaterka opowieści jest doktorem filozofji. Oto jej refleksje, gdy patrzy, podczas balu, na szeregi tańczących: „Miałaś się za lepszą od innych Uniwersytet, dzieło naukowe. Na co? Na co? Jesteś tu ostatnią z ostatnich". Czuje w sobie „Krzyk pogwałconego gatunku", głód rozkoszy, świadomość, że „chcąc być dobrym, trzeba przed kimś módz uklęknąć" i że „szczęśliwa matka, karmiąca swe dziecię zrodzone z miłości — to symbol szczęścia". Lecz że na swej drodze spotyka tylko „samców, goniących za przelotnym wrażeniem", jest skazaną na „głód zmysłów, na przymusowy celibat", bo wie, że „dla kobiety niema rozkoszy fizycznej bez miłości, niema miłości bez uwielbienia"; ztąd poczucie krzywdy. W mężczyźnie — w swym, jak mówi, „psychologicznym odpowiedniku" — chce znaleźć źródło mocy; woli „drażniący urok pożądania, niż rozkosz zaspokojenia"; „boi się rozczarowania"; sądzi, że „marzenie i oczekiwanie zbliżającego się szczęścia jest dużo piękniejsze od szczęścia samego".

Oto dzieje serca. Dzieje opowiedziane językiem pustym, gnuśnie rozwlekłym i bladym. Niemasz w tej opowieści ani jednego wiersza, z któregoby biło piękno uczucia; ani jednego słowa któreby niosło śpiew.

Mieczysław Filkenstein-Ziębowski.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

*** W marcowym zeszycie *Kultury Polskiej* wstępny artykuł poświęcił A. Świętochowski *gasnącej kulturze polskiej* w Poznańskiem. Zaznaczywszy z całym uznaniem, że ta dzielnica Polski wykazała największą żywotność ekonomiczną, i w kierunku gospodarczym znakomite osiągnęła rezultaty, z żalem stwierdza, że równolegle z tymi pocieszającymi objawami wzrasta straszne zmaterjalizowanie społeczeństwa i zobojętnienie na potrzeby ogółu.

> Wielkopolska nie spieszy nigdy z obfitszymi zasiłkami żadnej naszej potrzebie i niepodobna wyobrazić sobie takiej sprawy publicznej, któraby ją pobudziła do większej ofiarności
>
> U nas obywatele kraju za życia i po śmierci ciągle składają dary ojczyźnie; tam miljonerzy umierają, nie pozostawiwszy dla niej szeląga. Pismo nasze ciągle zwracają uwagę na to skostnienie dusz. Na dar Grunwaldzki biedna stosunkowo Galicja wpłaciła pół miljona koron, Poznańskie dwadzieścia tysięcy marek. Tegoroczne wybory do parlamentu zakończyły się klęską Polaków na Śląsku, bo żałowano na nie wydatków bo one

stanowiły tylko niepożądaną przerwę w pracy ekonomicznej. Ostateczny rachunek z życia tej dzielnicy wypada bardzo smutnie. Więcej niż połowa ziemi stracona, duch narodowy osłabiony, język skażony, niema tam ani literatury, ani sztuki i nauki; są tylko pełne śpichrze i komory.

Równocześnie przypomina autor, że prądy pozytywizmu, o których powiadano, że przyniosą zmaterjalizowanie społeczeństwa, nie tknęły poznańskiego gruntu, na którym w owym czasie najbujniej krzewił się klerykalizm.

Wielkopolska jest dziś zarazem najbardziej sklerykalizowaną i najbardziej zmaterjalizowaną dzielnicą kraju naszego. Żyje tam wysoka kultura materjalna europejska, ale kona duchowa—polska.

Przeciw tym uwagom protestuje *Dziennik Poznański* ale protest jego jest właściwie nieświadomym potwierdzeniem sądu A. Świętochowskiego. Jest gorzej niż napisano w *Kulturze Polskiej*, gdyż tam widocznie ludzie niezdolni są rozumieć, że mogą istnieć jakieś wyższe dążenia i jakieś wyższego rzędu pojęcie interesu narodowego poza bogaceniem się każdego Polaka z osobna.

Nietylko ilościowo i jakościowo żywioł nasz w Wielkopolsce rozwija się. Realne i idealne siły mamy stale na oku. I tak o fizyczne wzmocnienie się społeczeństwa dbają u nas takie towarzystwa jak Sokół, Wyzwolenie, Towarzystwo hygieniczne

Na tle politycznym czynimy, co w naszym położeniu jest możliwe. Mamy Koło Polskie w Berlinie, Straż w Poznaniu. Pod względem etyczno-socjalnym (?) trzymamy się ziemi, tworzymy związki organiczne, jak Tow. Centralne rolnicze, Kółka włościańskie, banki, spółki zarobkowe i gospodarcze, organizacje robotnicze, stowarzyszenia kobiet pracujących, Tow. Ziemianek, Polskie związki zawodowe, nadto coraz bardziej rozwija się przemysł i handel polski.

Tu warto zwrócić uwagę, że rozwój handlu, przemysłu, banków, spółek i t. p. zaliczył autor do działu „etyczno-społecznego", zupełnie w duchu materjalizmu poznańskiego. Kto tam jest porządnym człowiekiem i dobrym patrjotą? Ten co się dorabia. Kto jest nic nie wart? Ten kto nic niema lub to, co ma, traci.

„A umysłowo — pyta dalej autor — czyż w tych ciężkich warunkach nic nie działamy?" I wylicza: Brak zupełny analfabetów, ogromny rozwój prasy polskiej, Czytelnie ludowe, Tow. Przyjaciół nauk i t. p. Nikt niema powodu wątpić, że Poznańskie posiada taką moc stowarzyszeń i instytucji społecznych, iż w ich ramach mogłoby świetnie i wszechstronnie swą kulturę rozwijać. Posiada tedy wszystkie środki do osiągnięcia imponujących rezultatów — ale gdzież są te rezultaty? Jest z dawna, więcej niż przed pół wiekiem założone Tow. Przyjaciół Nauk. Ale gdzież są poznańscy uczeni? Rozumiemy, że warunki pracy naukowej dla Polaków nie są tam tak pomyślne jak w Galicji, ale są niewątpliwie nie gorsze — raczej lepsze niż w Królestwie. Daremnie szukalibyśmy tam kogokolwiek ktoby poświęcał się jakiejś gałęzi wiedzy, z bezinteresownym oddaniem, dla miłości badań naukowych.

Gdzież historycy, ekonomiści, przyrodnicy? Czy Tow. Przyjaciół nauk zbogaciło polską literaturę naukową dziełami, któreby dla niej trwały i cenny stanowiły nabytek? A jednak posiada te ułatwienia, których my tu nie mamy. Bogate dla wszystkich dostępne Bibljoteki publiczne, na które nie łoży ani grosza. Jest Bibljoteka Raczyńskich posiadająca fundusze żelazne, a z dochodów ustawą gwarantowany zakup książek corocznie za 1000 talarów polskich a za tysiąc niemieckich. Czy książki polskie są tam zakupywane i za jaką sumę? Może Straż tego pilnuje — jeżeli Straż wogóle jeszcze cośkolwiek robi, gdyż głuche wieści dochodzą o zupełnym upadku tej instytucji. Posiada też Poznańskie, o czym *Dz. Pozn.* zapomniał, najbogatsze w Polsce Tow. pom. naukowej dla młodzieży i jedyne w Polsce zasobne Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt. Gdzie jest ta inteligencja poznańska, którą ono kształci? Gdzie te kobiety przy pomocy jego stypendjów zdobywające wiedzę? Gdzie artyści, literaci, którzyby sztukę polską bogacili swą twórczością?

Niema analfabetów i prasa polska świetnie się rozwija, ale to znaczy tylko, że wydawcy doskonałe robią interesy. Czemże oni jednak karmią te masy, które ich tuczą? Gdzie wydawnictwa popularne, któreby warto było kolportować pomiędzy ludem? Naogół wszystko, co z tamtąd do nas przychodzi, jest nędzą wyjątkową pod względem treści i formy i lud nasz, o ile umie i lubi czytać, nie bierze już takich rzeczy do ręki.

Nie wiadomo, jak rozumieć słowa *Dz. Poznańskiego*: „Z natury rzeczy dostarczać musimy innym dzielnicom niemało energji intelektualnej".

Gdzie? Kiedy? Któż u nas energję intelektualną z Poznańskiego czerpie? Każde wezwanie pod jego adresem, do współpracy na polu intelektualnym pozostaje tam głosem wołającego na puszczy, skutkiem zupełnej nieobecności pracowników naukowych w jakiejkolwiek dziedzinie. Nauka popłaca tam tylko o tyle, o ile chleb daje. A ofiarność na cele publiczne? To pytanie przezorny *Dziennik Poznański* zostawił bez odpowiedzi.

Od niepamiętnych czasów, może od epoki Marcinkowskiego i Mielżyńskich, nie słyszano tam o żadnych większych na cele dobra ogólnego zapisach, a i drobne rzadkość stanowią. Postęp gospodarczy, bogacenie się społeczeństwa polskiego w Poznanskim nie przynosi najmniejszego zysku instytucjom ogólnego narodowego znaczenia, ani miejscowym, ani zamiejscowym. Jednostki dorabiają się, naród ubożeje.

A straszne zaniedbanie, wprost zaprzepaszczanie języka polskiego, czyż ono samo przez się nie jest dowodem „gasnącej kultury polskiej"? Szczycą się Poznańczycy, że analfabetów wśród siebie nie mają, ale niechaj raczą policzyć, ilu jest między nimi takich, którzyby w nauce języka ojczystego posunęli się dalej poza naukę czytania i pisania wedle elementarza. Na lekcje języka polskiego dla swych dzieci nawet i zamożni ludzie żałują pieniędzy.

Wszystko to nie płynie bynajmniej z przyczyn niezmiennych i nie dających się usunąć, z nacisku kultury niemieckiej. Polska kultura mogłaby się jej oprzeć, ale by tę odporność ze siebie wykrzesać, musi dojść do świadomości, że jest na drodze do zupełnej zagłady i musi się tym przerazić.

Ale oto do czego redukuje się tam świadomość narodowa:

Naszą wiarą, siłą i obroną jest przekonanie głębokie, że typ umysłowości naszej odrębny jest od niemieckiej. Jesteśmy inni — odmienni i dobrze nam z tym.

Poznańczyk nie rozumie, że jego „typ umysłowości" znacznie więcej niż od niemieckiego różni się od polskiego typu, że coraz bardziej sta-

je się „innym — odmiennym“ przez swe ubóstwo, jałowość, ciasnotę — i to jest właśnie złe, że jest mu z tym dobrze.

*** Dwutygodnik lwowski, *Rzeczpospolita*, wystąpił z artykułem, druzgocącym ulubione kłamstwa konwencjonalne naszej opinji. Artykuł nosi wymowny tytuł „postępy podboju Polski“. Bez taniego sentymentalizmu, lecz kierując się ścisłą oceną faktów, autor dochodzi do konkluzji, że we wszystkich trzech dzielnicach nasza siła narodowa pod ciśnieniem nieprzyjaznych warunków kurczy się i ustępuje, że na całej linji stwierdzić się daje klęska narodowa.

W mniemaniu powszechnym Galicja dzięki swym korzystnym warunkom politycznym i instytucjom, zrobiła największy krok na drodze oświaty, postępu gospodarczego i wzmocnienia narodowego. A jednak krytyczny autor nawet co do tej dzielnicy nie waha się wypowiedzieć sądów ujemnych:

> Ale my nie nadążymy krokiem ogólnemu pochodowi życia, które idzie dzisiaj bardzo szybko, a wskutek tego, w stosunku do sił sąsiadów i przeciwników, siły nasze i tutaj nie idą w górę... Przed laty mniej u nas było bogactwa, niż jest dzisiaj, ale to, co było, znajdowało się przeważnie w rękach polskich zarówno na wsi, jak w miastach. Dzisiaj ogromna część wszelkiej własności znajduje się w rękach mniej lub więcej obcych.

Autor podkreśla wzrost własności żydowskiej, tudzież cudzoziemskiej w Galicji.

> Są to, oczywiście, objawy nad wyraz groźne. Przestajemy być właścicielami i gospodarzami naszego kraju.

Autor artykułu rozprawia się ze znanymi przechwałkami na temat naszych sukcesów w zaborze pruskim. Na stan rzeczy w naszej dzielnicy, rzecz prosta, autor zapatruje się bardzo pesymistycznie i nie potrzebuje się wysilać na dowody.

> A zatym nigdzie nie idziemy naprawdę w górę. W każdej dzielnicy są tu i tam postępy pewne, ale niepodobna się łudzić, że ogólne wynik, są korzystne... „ciągle postępuje podbój Polski“. a

*** *Goniec*, przytaczając uwagi powyższe przyznaje słuszność pesymizmowi autora, zastrzegsię jedynie przeciw jego jednostronności, gdyż w artykule poza dotykalną statystyczną rzeczywistości nie uwzględniono czynnika duchowego, który przecież w zagadnieniach tego rodzaju jest rzeczą najważniejszą.

> Twierdzimy — są słowa *Gońca* — że przedewszystkim zagrożony jest duchowy pierwiastek narodu — świadomość zbiorowa. Niewątpliwie przybytek lub ubytek wagi organizmu jest ważnym przyczynkiem do djagnozy, ale są stany, kiedy najpilniejszym zadaniem jest ratowanie słabnącej działalności serca.

Serca i — dodamy od siebie — mózgu, będącego w organizmie siedzibą i organem świadomości. Praca około przebudowy mózgów polskich w kierunku uzdolnienia ich z tętnem kultury nowoczesnej, — oto czegośmy jąć się winni przedewszystkim. A w tętnie kultury dzisiejszej dźwięczą dwa hasła: ludowość i wolnomyślność.

Wystawa pracy kobiety polskiej w Pradze Czeskiej.

Otwartą zostanie dnia 28 Czerwca r. b. Termin nadsyłania okazów oznaczony został na 25 Maja r. b.

Biuro Komitetu Wystawy w Warszawie mieści się na ul. Włodzimierskiej Nr. 16 m. 22.

Skład Komitetu tworzy pp. Włodzimierzowa ks. Czertwertyńska (protektorka), Zofja Stankiewiczówna (przewodnicząca), Dr. Justyna Budzyńska-Tylicka i Henrykowa Sienkiewiczowa (wice-przewodniczące), Wanda Stokowska, Helena Zaborowska, Paulina Dieckstejnowa, Eugienja Wiśniewska, Wanda Herse, Marja Papieska, Weryho-Radziwiłłowiczowa, Kazimierzowa Sobańska i Zofja Tabęcka.

Wystawa zawierać będzie następujące działy:

1) Nauka (kierowniczka p. Teodora Męczkowska — Wspólna 53),

2) Sztuka (p. Zofja Stankiewiczówna — Wpólna 53),

3) Literatura (p. J. Oksza w biurze Komitetu),

4) Pedagogika i Szkolnictwo (p. Aniela Szycówna — Żórawia 28),

5) Kobieta w służbie zdrowia (Dr. med. Justyna Budzyńska-Tylicka — Żurawia 28),

6) Praca zawodowa (p. Wanda Herse — Marszałkowska 150),

7) Zdobnictwo i Przemysł Ludowy (p. Marja Papieska — Włodzimierska 15),

8) Gospodarstwo (p. Marta Norkówska — Bracka 17),

9) Filantropja (p. Zofja Tabęcka — Królewska 16),

10) Stowarzyszenia.

Komitet gorąco zwraca się do wszystkich z zachętą do najliczniejszego solidarnego wystąpienia w obliczu innych narodów, a spieszyć trzeba, gdyż czas krótki, a praca ogromna.

WYSTAWA ARCHITEKTURY I WNĘTRZ W OTOCZENIU OGRODOWEM W KRAKOWIE W R. 1912.

Program:

Wystawa odbędzie się w Krakowie, na placu udzielonym przez gminę miasta, pod parkiem D-ra. Jordana i trwać będzie od maja do października 1912.

A. Myślą przewodnią wystawy jest przedstawienie w sposób poglądowy i pouczający usiłowań naszych w wytworzeniu nowoczesnych form zdrowego, praktycznego i pięknego mieszkania dla wszystkich warstw ludności, z uwzględnieniem odśrodkowego ruchu w rozwoju miast na rozszerzonych terenach. Wystawa obejmuje więc budowę i urządzenie domów mieszkalnych, składających się najwyżej z parteru i piętra, możliwie na tańszych gruntach, w otoczeniu ogrodowem, dla użytku jednej, dwu lub paru rodzin, (wykluczając w ten sposób kilkopiętrowe kamienice o systemie koszarowym na drogich gruntach zwarto zabudowanych ulic).

W zakres wystawy wchodzą:

I. Pojedyńcze domy, urządzone z komfortem, mniejsze dworki, domy o kilku małych mieszkaniach, domki z pracowniami dla rękodzielników, domki dla robotników; wszystkie z uwzględnieniem otoczenia ogrodowego. Regulacja całych dzielnic.

II. Urządzenie wewnętrzne wszystkich wymienionych czyli sztuka stosowana w szerokim zakresie.

III. Obok tego wejdą w zakres wystawy, dwory wiejskie nowoczesne, zagrody włościańskie oraz wiejskie kościołki (z wykluczeniem zabytków).

B. Wystawa składa się z dwóch części: I) z rzeczy wykonanych w naturze i II) z projektów.

I. Wykonane będą w naturze, oprócz głównego pawilonu wystawy i pawilonu z restauracją, kawiarnią i teatrzykiem: dworek podmiejski, domek dla rękodzielnika z pracownią stolarską, domek dla dwu rodzin robotniczych i wzorowa zagroda włościańska. Budynki, w otoczeniu ogrodowym, będą wystawione sposobem prowizorycznym, kryte ogniotrwale, wewnątrz kompletne i umeblowane.

II. Projekty, które mieścić się będą przeważnie w głównym pawilonie wystawy, obejmują tematy, wymienione wyżej pod I, II, III (A). Głównym materjałem architektonicznym będą modele plastyczne domów i grup, uzyskane z konkursu na typy domów mieszkalnych, rozpisanego przez Delegację architektów polskich i Komitet wystawy z pomocą gminy m. Krakowa. Obok tego przyjmowane będą wszelkie projekty, wchodzące w program wystawy, bądź w rysunkach bądź w modelach (przyczym bardzo pożądane są modele plastyczne modelowane).

C. Na placu wystawy zarezerwowano miejsce na urządzenie wystawy wyborowych materjałów budowlanych.

D. Podczas trwania wystawy będą urządzane różne wystawy czasowe na przeciąg paru tygodni, a przedewszystkim wystawa planów miast-ogrodów (z uwzględnieniem ruchu zagranicą) i inne, wchodzące w zakres wystawy. Program szczegółowy będzie osobno ogłoszony.

E. Z wystawą połączone będą odczyty, dotyczące hygieny i estetyki domu mieszkalnego, oraz strony ekonomicznej i społecznej kwestji mieszkaniowej.

KRONIKA.

„DOM POLSKI" W BIELSKU. Na Śląsku cieszyńskim stał się niedawno fakt b. ważny dla tamecznego życia polskiego. Oto, w zajadle germanizowanym Bielsku został uratowany od przykrych skutków przetargu publicznego — Dom Polski, co należy przypisać szlachetnej ofiarności rodaków z Galicji wschodniej. Radość robotników bielskich z powodu tego chwilowego tryumfu polskości — była wielka. Dodać należy, iż pracę polską prowadzą tu ludzie różnych barw polityczno-społecznych, przeważa jednak żywioł socjalistyczny.

Na razie placówka, w której ogniskowało się życie polskie — została uratowana od zachłanności hakaty. Jednak obecnie Polacy bielscy muszą zebrać 20,000 koron, które za kilka miesięcy należy spłacić jako ostatnią ratę. To też rozpoczęli oni już nawoływać wszystkich rodaków o jaknajliczniejsze grosze...

LICZEBNOŚĆ WARSZAWY W R. 1911-ym. Zgodnie z danymi statystycznymi za rok 1910, liczba ludności w Warszawie w dn. 1 stycznia owego roku wynosiła 781,179, w tym 376,448 mężczyzn i 404,731 kobiet. Przyrost ludności w roku 1910 wynosił 15,914, w dniu 1 stycznia 1911 roku było ludności w Warszawie 797,093. W ciągu roku 1910 urodziło się 22,826 dzieci, umarło 15,055 osób, czyli śmiertelność wynosiła 19,27 na tysiąc mieszk.

Dodać tu należy, iż obliczenie obejmuje jeno tych Warszawiaków, którzy mieszkają w obrębie cyrkułów miejskich, gdy tymczasem istotna Warszawa wielka—rozpościera się szerokim kręgiem poza ciasne granice spółczesnej Warszawy. Ludność podmiejska dostarczy wielkiej Warszawie przyszłości — nader licznego żywiołu rdzennie polskiego. Obecnie ludność wielkiej Warszawy wynosiłaby z górą 1,000,000 mieszkańców.

Według danych urzędowych, ludność Warszawy na dzień 1 stycznia 1911 roku wynosiła 797,093 osób. W ciągu roku 1910 ludność wzrosła o 15,91 proc. W Warszawie istnieje znaczna przewaga płci żeńskiej. Kobiet było 415,322, gdy liczba mężczyzn wynosiła tylko 381,771. Liczba obcych poddanych w Warszawie wynosi 12,487. Według wyznania ludność Warszawy dzieli się w sposób następujący: katolików 443,138, ewangelików 14,259, marjawitów 2,304, prawosławnych 31,752, izraelitów 301,268. Ogółem w obrębie Warszawy istnieje 5,495 domów murowanych i 1,230 drewnianych. Nanowo wzniesiono 156 domów. W roku 1910 było w Warszawie 573 fabryk i zakładów przemysłowych, których wytwórczość obliczono na 94,659,000 rubli, fabryki te zatrudniały 36,837 robotników, w tej liczbie 25,759 mężczyzn i 11,078 kobiet. Nadto w Warszawie istnieje 2,936 zakładów rzemieślniczych, w których pracuje 750 czeladników i 4,781 uczniów.

„SOKÓŁ" W ZABORZE PRUSKIM. Związek sokoli z. pr. jest podzielony na 13 okręgów. Liczy on obecnie 230 gniazd z okrągłą liczbą 9,500 członków, w tym niewiast blizko 600. Dochody i rozchody za r. ub. wynosiły 6037 mr.

Wydawnictwo organu związkowego „Sokoła" wykazuje w dochodach i rozchodach 7,346 mr. Związek weźmie udział w ćwiczeniach zlotowych w Pradze czeskiej, które przypadają w lecie r. b.

DROBNY KREDYT W KRÓLESTWIE. Ilość towarzystw drobnego kredytu stale wzrasta w Królestwie Polskim. Z 277 w roku 1909 liczba ich podniosła się do 341 już w r. 1910, obecnie zaś naturalnie jest jeszcze większa. Na początku 1909 r. ogólna ilość ich członków wynosiła 199,965, z czego 168,299 osób należało do Tow. pożyczkowo-oszczędnościowych, a 31,676 do towarzystw kredytowych.

Wszystkie towarzystwa drobnego kredytu w Królestwie posiadały na początku 1909 r. — 6,515,367 rubli kapitału zakładowego — w tym towarzystwa kredytowe 107,438 rubli, a pożyczkowo-oszczędnościowe 6,407,931 rb. Wkłady oszczędnościowe wynosiły ogółem 18,119,325 rubli, na tow. pożyczkowo-oszczędnościowe — 15,966,742 rb.

OFIARY.

Na szkołę w Sokołówku: Aniela Jeżewska z Warszawy rb. 25.

Na kąpiele ludowe w Warszawie od następujących pracowników T-wa Nikopol. Marjupolskiego w Sartanie, mianowicie:

L. Wasilewskiego rb. 10, T. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 3, S. Kleinsznek 3, S. Hegner rb. 2, G. Cywiński rb. 2, J. Tomaszewski rb. 1, S. Pilarski rb. 1, W. Lenk rb. 1, A Kozikowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop 50, A. Prokopowicz kop. 50, P. Mitrocki kop. 50, R. Świetliński kop. 75, W. Popiel kop. 50, L. Czaykowski rb. 1, S. Krotkiewski kop. 38, A. Hoppen kop. 25, ogółem rb. 55 kop. 88.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie: miesięcz. kop. **70**, kwartal. rb. 2, rocz. **rb. 8**, z odnosz. do domu.

z przesyłką poczt. do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50** [illegible]

Za zmianę adresu dopłaca się [illegible]

Sekretarz redakcji przyjmu- [illegible] i świąt od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Auto- [illegible] tych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaco- [illegible]

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmuje: admini- [illegible] wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

[illegible]

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Wyzwanie. — ECHA PRAWDY: Działalność literacka [illegible] — Echo oceanu. — Echo tajgi. — Przegląd polityczny. — Z zaboru pruskiego, przez Obserwatora. — Conditio sine qua, przez St. Romanowskiego. — BADANIA NAUKOWE: Szkice z dziedziny fizjologji i patologji, przez dr. K. Pawlikowskiego. — KRYTYKA: Zygmunt Krasiński, przez Leona Choromańskiego. — W obronie Mickiewicza, przez St. Pieńkowskiego. — Z Teatru, przez Kazimierza Wroczyńskiego. — Z PRASY: Z prasy polskiej. — Wystawa pracy kobiety polskiej w Pradze Czeskiej. — [illegible] tektury i wnętrz w otoczeniu ogrodowym w Krakowie, r. 1912. — KRONIKA. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**

Redaktor: **Aleksander John.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, [illegible] Krzyżka 11.